



ks. Franciszek Jabłoński

Matzeństwo matzeństwu

Gniezno 2016

Niniejsza edycja jest częścią książki mojego autorstwa,
która została wydana przez wydawnictwo Bonus Liber Sp. z o.o. z Rzeszowa
w 2016 roku (ISBN 978-83-65441-15-7) nosząca tytuł:

„Małżeństwo i rodzina szkołą ewangelizacji: apostołstwa i misji”.

Z publikacji tej został wyjęty jeden rozdział pt.:

„Małżeństwo i rodzina jako paradygmat zaangażowania apostołskiego
i misyjnego – wybrane przykłady” (s. 105-167).

Do niniejszego opracowania został dołożony trzeci rozdział: „Misyjny wymiar
adhortacji *Amoris laetitia*” opublikowany w książce mojego autorstwa:

„Małżeństwo i rodzina w służbie misji. Konspekty do spotkań z małżonkami”,
Gniezno 2016 (ISBN 978-83-945343-0-1), s. 95-104.

© *Copyright by*
Franciszek Jabłoński

Projekt okładki i skład:
Sławomir Błazewicz

ISBN 978-83-945343-1-8



Wstęp

Od stworzenia mężczyzny i kobiety małżeństwo i rodzina znajdują się w centrum życia świata i ludzi. Pierwsi rodzice pokazują nam idealną jedność z Bogiem, między sobą i ze światem. Wskazują na ideał życia dla wszystkich małżonków aż po wsze czasy. Jednak – jak to w życiu – historia Adama i Ewy zapisana na kartach Biblii ukazuje też drugą stronę „medalu”. W życiu małżonków po grzechu pierworodnym wpisany jest trud realizacji zadań małżeńskich, skłonność do grzechu, oskarżanie się i burzenie jedności z Bogiem, ze sobą, z drugim człowiekiem, ze światem. Z pomocą w odbudowaniu tej jedności przychodzi sam Bóg. Już w Starym Testamencie wybiera kolejnych małżonków i ich rodziny do przygotowania przyjścia Zbawiciela, swojego Syna. Noe i jego żona, Abraham i Sara, Izaak i Rebeka, Tobiasz i Sara wybrani spośród wielu par małżeńskich stają się prorokami – głosem samego Boga, a ich miłość służy ukazaniu więzi, jaka łączy Go z ludźmi.

Nowotestamentowa historia rozpoczyna się od małżeństwa Maryi i Józefa. I choć z natury nie byli oni typową parą małżeńską, to jednak z prawa ją stanowili. I znowu Bóg wybiera rodzinę do realizacji swoich zamysłów zbawienia. Jezus przychodzi na świat w rodzinie, która staje się odnowioną wspólnotą, doświadczającą bezpośredniej obecności Boga. Nauka Jezusa o małżeństwie daje nowe spojrzenie, nowe światło, nowy wymiar i wyznacza nowy cel: **jedności, nierozzerwalności i świętości.**

Doświadczenie pierwotnego Kościoła pokazuje po raz kolejny ważne znaczenie małżeństwa i rodziny w dziele zbawiania ludzi. Pierwszy Kościół tworzą w większości wspólnoty małżonków wraz ze swoimi dziećmi. To oni – chociaż w ciągu wieków z różnym podejściem samego Kościoła – stają się głosicielami i świadkami Dobrej Nowiny o Jezusie, stają się podstawą Chrystusowego Kościoła.

Od czasu II Soboru Watykańskiego z dużą intensywnością *Magisterium Ecclesiae* kieruje do małżeństwa i rodziny swoje przesłanie i wskazuje na drogę realizacji świętości we współczesności, traktując jednocześnie małżeństwo i rodzinę jako podmiot ewangelizacji. Rodzina jako *Kościół domowy* uczestniczy aktywnie w życiu i misji Kościoła. Włącza się w realizowaną przez Kościół potrójną misję Chrystusa: prorocką, kapłańską i królewską. Nieocenioną pomocą w jej wypełnianiu służą współczesnym małżonkom przykłady życia małżeństw żyjących w przeszłości.

„Małżeństwo – małżeństwu”. Chyba warto, aby ta zasada pomocniczości stała się metodą na współczesne głoszenie Ewangelii o małżeństwie i rodzinie. I więcej jeszcze – warto, a nawet trzeba ukazywać współczesnym małżonkom, że dziś małżeństwo i rodzina są najlepszą szkołą ewangelizacji: apostołstwa i misji.

Małżonkowie przez sakrament małżeństwa stanowią fundament rodziny. To od ich wzajemnych relacji do Boga i do siebie samych zależy w większości kształt przyszłych rodzin, społeczności Kościoła. Wśród katolickich małżeństw jesteśmy świadkami różnych modeli życia małżeńskiego. Dziś, coraz częściej ulegając wpływom różnych prądów myślowych, próbuje się zmieniać model małżeństwa i rodziny ukazany w Piśmie świętym, w tradycji i nauce Kościoła. Przekłada się to konsekwentnie na burzenie relacji małżeńskich i rodzinnych. Niejednokrotnie małżonkowie powielają błędy swoich rodziców, nie wyciągając z nich obiektywnych wniosków i nie nabierając do nich dystansu. Zazwyczaj dopiero przy głębszej formacji,

dzięki zaangażowaniu w konkretny ruch promażeński czy prorodzinny, małżonkowie zaczynają widzieć swoje błędy, zarówno te popełnione w relacji małżeńskiej, jak i te wychowawcze, popełnione w relacjach ze swoimi dziećmi.

Zadanie troski o rozwój miłości małżeńskiej dane jest małżonkom na całe życie. A miłość ludzka ze swej niedoskonałości potrzebuje ciągłego wsparcia i pielęgnacji. Podobnie jest z wychowaniem dzieci, które z woli Boga są jedyne i niepowtarzalne. Zasada ich wychowania powinna być oparta na miłości małżeńskiej. Nie jest niczym odkrywczym, że dla żony mąż powinien być na pierwszym miejscu, podobnie jak i dla męża żona. A dopiero na drugim miejscu powinny być dzieci. Nie odwrotnie. Poprzez miłość małżeńską można w pełni i właściwie kochać swoje dzieci, które nie są przecież własnością rodziców, kiedyś opuszczą rodzinny dom. Małżonkowie zaś zostają ze sobą aż do śmierci.

Atmosfera domu rodzinnego rzutuje na życie przyszłych pokoleń. Podobnie jest też z wiarą. Religijność i praktykowanie wiary rodziców staje się fundamentem i szkołą nie tylko dla przyszłych domów rodzinnych, ale też dla przyszłych wspólnot kapłańskich, zakonnych i misjonarskich.

Istotą pracy jest uzyskanie odpowiedzi na pytanie: W jaki sposób małżeństwo i rodzina mogą być szkołą ewangelizacji? Kolejne pytanie dotyczy już konkretnych przykładów na realizację tego zadania w życiu codziennym: W jaki sposób małżeństwa i rodziny w przeszłości stawały się szkołami ewangelizacji? W badaniach naukowych, poszukując odpowiedzi na tak postawione pytania, zastosowano metodę analityczno-syntetyczną.

Przedstawione w książce przykłady dają tutaj bardzo jasną i czytelną odpowiedź; ukazują, jak przez dawanie świadectwa, w domu i poza nim, rodzina może stać się szkołą ewangelizacji: apostołstwa i misji, szkołą współpracy misyjnej i odpowiedzialności za misje. I taki jest cel niniejszej publikacji – aby na drodze do świętości małżeńskiej każde dzisiejsze małżeństwo

mogło zaczerpnąć z doświadczeń tych, których wspólne trwanie przy Chrystusie doprowadziło już do świętości.

Zebrane w jednym miejscu historie świętych par małżeńskich mogą być wielką pomocą na tej drodze.

Ich życie ukazane jest według klucza zawartego w adhortacji *Familiaris consortio*, w której Jan Paweł II wskazuje na małżonków jako wspólnotę: osób, wierzącą i ewangelizującą, dialogu z Bogiem oraz w służbie człowiekowi (FC 18 i 51-64).

Posłannictwo małżeństwa i rodziny w życiu i misji Kościoła obejmuje także cały Kościół, który jest misyjny ze swej natury (DM 2). Przyjęcie sakramentów inicjacji oraz sakramentu małżeństwa przez małżonków czyni ich „misjonarzami” miłości i życia oraz „świadkami aż po krańce ziemi” (FC 54), rodzina zaś staje się miejscem pierwszego doświadczenia Kościoła i jego misyjności.

Świadectwo życia jest od początków Kościoła najbardziej wiarygodnym czynnikiem budzącym wiarę wśród innych. W tym przekonaniu umocniła mnie także moja osobista inicjatywa stwarzania małżonkom w różnych parafiach okazji do uroczystego odnawiania przez nich przyrzeczeń małżeńskich oraz peregrynacja relikwii świętych i błogosławionych małżonków po parafiach i rodzinach.

Drodzy Małżonkowie!

To szczególnie do Was skierowana jest ta książka. Ufam, że Was zainteresuje. Gdy będziecie ją czytać, zaznaczajcie fragmenty, które Was szczególnie zaintrygują, wzbudzą ciekawość – być może staną się inspiracją do przemyśleń, małżeńskich i rodzinnych rozmów, a może nawet zachęcą czy zmobilizują do wcielania ich we własne życie małżeńskie i rodzinne. Piszę ten wstęp w ciszy wigilijnego dnia, w oczekiwaniu na spędzenie kolejnej kapłańskiej Wigilii w rodzinie. Święta Bożego Narodzenia uważane – i słusz-

nie – za święta typowo rodzinne, poruszają w każdym z nas wiele pokładów miłości. Tak też się dzieje w małżeństwie, dla którego wieczerza wigilijna i atmosfera świąt staje się niejednokrotnie umocnieniem miłości, a czasami nawet odnowieniem więzi małżeńskiej i rodzinnej z Bogiem. U progu swego kapłaństwa postanowiłem podkreślić ważność tego dnia, wysyłając życzenia świąteczne do wielu domów rodzinnych. Wiem, i jest to dla mnie ogromną radością, że te życzenia *Przy wigilijnym stole...* każdego roku przez wielu są oczekiwane i rzeczywiście przy tym wigilijnym stole czytane. Cieszę się, że w ten sposób dane jest mi od ponad 25 lat być niejako obecnym na wigiliach w tylu rodzinnych domach.

Każde Wasze małżeństwo jest darem od Boga dla Kościoła i świata. Stąd też wszystkie działania w ramach duszpasterstwa małżeństw i rodzin, ukazywanie pozytywnych ich elementów, są naprawdę ważne dla wspierania małżeństwa i rodziny na drodze do świętości. Któż bardziej rozumie tę drogę, jak nie sami małżonkowie? Przykłady życia zaprezentowanych tutaj małżonków niech Was – Drodzy Małżonkowie – prowadzą do samego Nieba.

ks. Franciszek





Święci Louis i Zélie Martin - Francuzi

Louis (Ludwik) i Zélie (Zelia) Martin to małżeństwo, które jako pierwsze zostało ogłoszone świętym. Kanonizacja świętych małżonków odbyła się w kontekście synodu biskupów o rodzinie. Papież nie wykorzystał jednak tej okazji, by nawiązać do tematu obrad synodalnych. W homilii ograniczył się do krótkiego wspomnienia: „Święci małżonkowie Ludwik Martin i Maria Zelia z domu Guérin świadczyli posługę chrześcijańską w rodzinie, budując dzień po dniu środowisko pełne wiary i miłości. W tym klimacie zrodziły się powołania ich córek, w tym świętej Teresy od Dzieciątka Jezus”.

Generał Karmelitów Bosych o. Saverio Cannistra w swoim liście z okazji kanonizacji napisał: „Kanonizacja małżonków Martin jest znakiem czasów, który musi nas głęboko zastanawiać, ponieważ ma wartość epokową. Rzeczywiście, Kościół kierowany przez Ducha, postanowił – po raz pierwszy w swojej historii – kanonizować razem parę małżonków podczas trwania XIV Zwyczajnego Zgromadzenia Generalnego Synodu Biskupów, którego tematem jest powołanie i misja rodziny w Kościele i w świecie współczesnym, w niedzielę poświęconą Światowemu Dniu Misyjnemu”.

Proces beatyfikacyjny państwa Martin prowadzono w latach 1957-1960 w diecezjach Bayeux-Lisieux i Sées, a następnie w Rzymie. W 1994 roku Jan Paweł II zatwierdził ich cnoty heroiczne, zaś w 2008 roku Benedykt XVI zezwolił na wyniesienie obojga małżonków na ołtarze po uznaniu cudu przypisywanego ich wstawiennictwu – uzdrowieniu z ciężkiej choroby płuc chłopca Pietro Schiliro Monzy pochodzącego z wielodzietnej rodziny włoskiej. Dziecko przyszło na świat 25 maja 2002 roku bez nadziei utrzymania go przy życiu. Chłopiec miał zdeformowane płuca. Podłączony do respiratora leżał przez 40 dni w szpitalu. Kapłan, który udzielił chrztu dziecku, powiedział rodzicom: „Musicie przygotować się na jego odejście. Może łatwiej wam będzie to przeżyć, modląc się do rodziców Małej Tereski? Oni również przeżyli stratę dziecka”. Rodzice dziecka wraz z najbliższymi modlili się za wstawiennictwem Ludwika i Zelii Martin o życie i zdrowie dziecka, a także o przyspieszenie procesu beatyfikacyjnego tego małżeństwa. 29 czerwca 2002 roku w dniu swoich imienin, chłopiec odzyskał nagle pełnię sił i wrócił do zdrowia. Benedykt XVI uznał to uzdrowienie – szczególnie badane przez komisje lekarskie i kościelne – za cud dokonany za przyczyną sług Bożych Ludwika i Zelii.

Beatyfikacja Ludwika i Zelii Martin odbyła się 19 października 2008 roku, w dniu, w którym upłynęło 150 lat od momentu przyjęcia przez nich sakramentu małżeństwa. Data była wymowna: w tym dniu obchodzono Światowy Dzień Misyjny oraz rocznicę ogłoszenia św. Teresy Doktorem Kościoła. Było to zatem symboliczne połączenie rodziców oraz córki. Uroczystego wyniesienia na ołtarze Ludwika i Zelii dokonał kard. José Saraiva Martins, emerytowany prefekt Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, reprezentant papieża Benedykta XVI.

Do zgromadzonych wiernych powiedział, że miłość państwa Martin jest obrazem miłości Chrystusa do Kościoła. Mieli oni świadomość, że mogą osiągnąć świętość nie pomimo małżeństwa, ale w małżeństwie i przez małżeństwo. Jak podkreślał, Ludwik i Zelia byli „świadectwem radykalnego

życia Ewangelią w swoim małżeństwie, wręcz heroizmu wiary, gdyż *od czasu Jana Chrzciciela aż dotąd królestwo niebieskie doznaje gwałtu, a zdobywają je ludzie gwałtowni* (Mt 11,12). Martinowie nie bali się zadać tego gwałtu sobie samym, aby posiąść królestwo niebieskie, i w ten sposób stali się światłem świata, które Kościół stawia dzisiaj na świeczniku, żeby mogło świecić na wszystkich domowników (Kościół)". Małżeństwo to jest doskonałym przykładem dla innych rodzin, jak należy wypełniać właściwe zadanie małżonków, którym jest przekazywanie życia i wychowywanie dzieci. Można ich nazwać „misjonarzami” w jeszcze szerszym znaczeniu tego słowa.

Ludwik Józef Stanisław (*Louis Joseph Stanislas*) Martin (22 sierpnia 1823-29 lipca 1894) urodził się we Francji w Bordeaux. Był synem kapitana wojska francuskiego. Wywodził się z rodziny „chrześcijan głębokiej wiary”. Lubił dobrą lekturę, ciszę i samotność. Potrafił pięknie malować i rysować, dbał o porządek. Mając 23 lata, poczuł pragnienie pójścia do klasztoru, jednak przeszkodziła mu w tym nieznajomość łaciny. Wybrał zawód zegarmistrza. Przez pewien czas mieszkał w Paryżu, ale niebawem wrócił do rodziców, którzy mieszkali w Alençon, gdzie otworzył zakład zegarmistrzowsko-jubilerski. Pracę łączył z ćwiczeniami duchowymi i działalnością dobroczynną. Jego życie toczyłoby się pewnie tak dalej, gdyby nie to, że pewnego dnia na moście św. Leonarda zobaczyła go dziewczyna i usłyszała wewnętrzny głos: „To ten, którego przygotowałem dla Ciebie”. Trzy miesiące później, 13 lipca 1858 roku o północy w kościele pw. Matki Bożej w Alençon Ludwik Józef Alojzy Stanisław Martin i Zelia Maria zawarli związek małżeński. Ludwik miał wówczas 35 lat, a Zelia 26. Wspólnie prowadzili sklep z zegarkami, który w niedziele był zawsze zamknięty, nawet za cenę utraty klientów. W małżeństwie przeżyli tylko 19 lat. W dniu 28 sierpnia 1877 roku, przed ukończeniem 46 roku życia zmarła Zelia. Ludwik był wdowcem samotnie wychowującym dzieci przez 17 lat. Zmarł 29 czerwca 1894 roku. Miał wtedy 71 lat. Jego córka Celina, która trwała u boku ojca, po jego śmierci mogła wstąpić do klasztoru. Mała Teresa po latach

wspominała swój obraz z dzieciństwa. Miała 12, 13 lat, ojciec wyszedł z domu, jednak wydawało się jej, że siedzi w pokoju. Wcale nie wyszedł. Na jego twarzy rysował się grymas bólu. Przebywając w karmelu, po wielu latach od tego wydarzenia, w swoim brewiarzu znalazła obrazek Jezusa. Przeszedł ją dreszcz, gdyż rozpoznała w nim rysy swojego ojca, którego nazwała Dziezdzicem i Władcą Senioratów Cierpienia i Upokorzenia. W *Dziejach duszy* św. Teresa z kolei pisze: „Każdego popołudnia szłam na przechadzkę z tatusiem: wspólnie nawiedzaliśmy Najświętszy Sakrament, wstępując codziennie do innego kościoła”. I opowiada dalej, że w trakcie tych spacerów „tato lubił dawać mi pieniądze na jałmużnę, abym zanosila je spotykanym ubogim”. W pamięci zapadł jej także obraz ojca podczas nabożeństw w kościele: „Bywało, że oczy jego napełniały się łzami, które na próżno usiłował powstrzymać; dusza jego z takim upodobaniem zatapiała się w prawdach wiecznych, że zdawało się, jakoby już nie był na ziemi”. W jeszcze innym miejscu opisuje wieczory spędzone wspólnie z ojcem: „Ach! Jakże słodko było po grze w warcaby usiąść razem z Celiną na kolanach taty (...). Śpiewał swoim pięknym głosem pieśni napełniające duszę głębokimi myślami (...) lub kołysząc nas delikatnie, recytował wiersze pełne prawd wiecznych (...). Potem podnosiliśmy się do wspólnej modlitwy, podczas której królowna była tuż przy swoim Królu, przyglądając się mu, by zobaczyć, jak modlą się Święci (...). Wreszcie przychodziliśmy wszystkie po kolei, według wieku powiedzieć tatusiowi dobranoc i otrzymać od niego pocałunek (...)”.

Zelia Maria (Zélie Marie) z domu Guerin (23 listopada 1831-28 sierpnia 1877) pochodziła z Gandelain koło Alençon. Była córką żołnierza cesarskiego, a później żandarma. Nie miała szczęśliwego dzieciństwa. Wychowywano ją w atmosferze rygoru, przymusu i skrupulatności, a wpajanymi wartościami były przede wszystkim: praca, zapobiegliwość, uczciwość oraz umiar. Jej matka była dla Zelii bardzo surowa. Co chwilę powtarzała swojej córce: „To grzech”. Zelia po latach stwierdziła: „Moje dzieciństwo i młodość były smutne jak żałobny całun”. Od dzieciństwa ciężko pracowała i już jako

młoda dziewczyna była znana jako doskonała koronczarka. Wyrosła na kobietę zależną, której brakuje wiary w siebie, skłonną do skrupułów i nadwrażliwą. Szybko jednak pojęła prawdę podaną przez apostoła Pawła: *Ilekroć niedomagam, tylekroć jestem mocny* (2 Kor 12,10). Wątpiąca w siebie Zelia zaczęła szukać pomocy u Boga, wiedziała bowiem, że On jej nigdy nie zawiedzie. Jej pragnieniem był zakon, jednak po rozmowie z siostrą przełożoną, która miała doświadczenie w kwestii powołań, Zelia odłożyła te plany na później. Był to dla niej wielki cios, jednak nie była osobą, która skupiała się na swoim nieszczęściu. Powiedziała wówczas: „Mój Boże, skoro nie jestem godna być Twoją oblubienicą (...), stanę się małżonką, aby wypełnić Twoją świętą wolę. Tak więc proszę, daj mi wiele dzieci i spraw, aby wszystkie były Tobie poświęcone”. Postanowiła rzucić się w wir pracy zawodowej. Podjęła się szlachetnego zajęcia, jakim było wytwarzanie tzw. koronek z Alençon. Przyszła pani Martin uczęszczała na kursy koronczarskie, których współorganizatorką była matka Ludwika. Kształciła się w tym kierunku i osiągnęła mistrzostwo. Na początku pracowała w miejscowej fabryce, jednak porzuciła posadę z powodu natręctwa jednego z zatrudnionych tam mężczyzn. 8 grudnia 1851 roku, w uroczystość Niepokalanego Poczęcia, podczas gdy pracowała w swoim pokoju, usłyszała głos: „Zleć wytwarzanie koronek”. Podzieliła się tym doświadczeniem ze swoją siostrą, Elizą, która zachęcała ją do działania, obiecując jej jednocześnie swoją pomoc. W ten sposób podjęły się tej pracy wspólnie. Zelia była osobą przedsiębiorczą i już w wieku 20 lat założyła własne przedsiębiorstwo. Ona także, podobnie jak jej mąż, dzieliła pracę zawodową z głębokim życiem wewnętrznym i pobożnością oraz z pełnieniem dzieł miłosierdzia wobec potrzebujących.

Groby Ludwika i Zelii Martin znajdują się w Lisieux nieopodal bazyliki. Między nimi widnieje figura ich córki, św. Tereski, a na cokole wyryto jej słowa: „Dobry Bóg podarował mi ojca i matkę, godnych raczej nieba niż ziemi”.



Bł. Luigi i Maria Beltrame Quattrocchi - Włosi

21 października 2001 roku, w dwudziestą rocznicę ogłoszenia adhortacji *Familiaris consortio* Jan Paweł II ogłosił błogosławionymi Luigiego i Marię Beltrame Quattrocchich. Tego rodzaju beatyfikacja miała miejsce po raz pierwszy w dziejach Kościoła. Zostali oni beatyfikowani, ponieważ dla nich małżeństwo było wspólną drogą do świętości. We Mszy św. beatyfikacyjnej swych rodziców uczestniczyło troje spośród czworga ich dzieci. Jan Paweł II w homilii w czasie beatyfikacji powiedział, że „bogactwo wiary i miłości małżonków Alojzego i Marii Beltrame Quattrocchi jest żywym przykładem tego, co Sobór Watykański II mówi o powołaniu wszystkich wiernych do świętości, precyzując, że małżonkowie osiągają ten cel *proprium viam sequentes* - »idąc własną drogą« (por. KK 41). Wypełnieniem wskazania Soboru jest dzisiejsza pierwsza w historii beatyfikacja pary małżonków, którzy dochowali wierności Ewangelii i rozwinęli cnoty w stopniu heroicznym jako małżonkowie i jako rodzice”. Zaznaczył, że inspirowani Słowem Bożym i świadectwem świętych, ci błogosławieni małżonkowie przeżywali swoje zwyczajne życie w sposób nadzwyczajny. Na zakoń-

czenie swojej homilii papież zachęcił wszystkie małżeństwa i rodziny, aby bez lęku i odpowiedzialnie wywiązywały się z zadań, które na nich spoczywają. „Odnówcie w sobie zapał misyjny, tworząc wasze domy uprzywilejowanym środowiskiem głoszenia i przyjmowania Ewangelii w atmosferze modlitwy i w konkretnej solidarności chrześcijańskiej”.

Alojzy urodził się 12 stycznia 1880 roku w Katanii. Był trzecim dzieckiem w domu funkcjonariusza prefektury. Następnie rodzina przeniosiła się do Wiecznego Miasta. Tam po latach – skończywszy studia prawnicze – Alojzy został adwokatem w ministerstwach i bankach. W czasach Mussoliniego kilka razy odmówił objęcia różnych urzędów. Był jednym z promotorów skautingu w Italii, a jednocześnie pracował nad sobą, pogłębiając wiedzę religijną na Gregorianum. Zmarł 9 listopada 1951 roku.

Maria urodziła się prawie cztery lata później niż Alojzy – 24 czerwca 1884 roku we Florencji. Była córką kapitana grenadierów sardyńskich i damy pochodzącej z arystokratycznego rodu Salvi. Wywodziła się ze znamienitego rodu książęcego. Wśród jej przodków był m.in. papież Klemens XII. Rodzina przeprowadziła się do Rzymu, gdzie Maria zdobyła wykształcenie humanistyczne. Pisała książki, publikowała artykuły w prasie katolickiej, wydała też kilkanaście pozycji na temat życia małżeńskiego, rodzinnego, a także dotyczących wychowania dzieci i chrześcijańskiej ascezy. Żywo włączała się w działania na rzecz ludzi chorych. Maria zmarła 26 sierpnia 1965 roku, 14 lat po śmierci Alojzego. Do samego końca publikowała artykuły i książki, wśród których można wymienić m.in. *Radiografię pewnego małżeństwa*. Została pochowana u boku męża na cmentarzu Vitorchiano w Rzymie. Obecnie ich grób znajduje się pod Rzymem, w krypcie sanktuarium NMP Matki Bożej Miłości (*Santuario della Madonna del Divino Amore*).

Luigi i Maria Beltrame Quattrocchi mieszkali w przestronnym mieszkaniu znajdującym się w Rzymie na Piazza del Viminale. W wielkim salonie, umeblowanym jak za czasów dziadów i pradziadów, na głównej ścianie nad

kominkiem wisiał wielki obraz przedstawiający Najświętsze Serce Pana Jezusa – znak rodzinnej pobożności, który przeobraził ten dom w *Kościół domowy*. Przed tym świętym obrazem rodzina Alojzego i Marii spożywała wspólnie posiłki. Wszyscy siedzieli w odpowiednim porządku wokół wielkiego stołu będącego w centralnym miejscu w pokoju.





Studzy Boży Tomás i Paquita Alvira - Hiszpanie

Tomás (Tomasz) Alvira (1906-1992) był hiszpańskim wychowawcą i nauczycielem. W 1922 roku rozpoczął studia na Wydziale Chemii. Od 1928 roku był profesorem w różnych ośrodkach: wykładał w Kolegium Pijarów; był adiunktem w Instytucie Logrono; adiunktem w Szkole Ekspertów. Był profesorem kolegium żeńskiego La Enseñanza; dyrektorem technicznym na politechnice. W 1934 roku został wybrany na dyrektora Instytutu Cervera del Río Alhama. W 1941 roku uzyskał profesurę w Instytucie Ramiro de Maeztu w Madrycie, gdzie rok później zatrudniono go jako dyrektora studiów, syna kalifa Maroka, Moulay El-Medhi. W 1945 roku otrzymał dożywotnio katedrę Instytutu Nauk Fizyczno-Przyrodniczych. W 1950 roku został powołany na stanowisko dyrektora Szkoły Sierot Gwardii Cywilnej. Następnie brał udział w tworzeniu Centrów Rozwoju Szkół. Od 1973 do 1976 roku był zastępcą dyrektora Centrum Doświadczalnego Instytutu Nauk o Edukacji Uniwersytetu Complutense w Madrycie, a następnie dyrektorem Szkoły Rozwoju Centrów Edukacji. Jego największą zasługą było stworzenie *Aula viva* (termin tłumaczony dosłownie jako *żywa sala* albo

żywa lekcja, oznacza zajęcia praktyczne na łonie przyrody, np. uprawa ogródka, wymagające aktywnego uczestnictwa i zajęć praktycznych).

Paquita (Franciszka) Domínguez (1912-1994) pracowała jako nauczycielka. Tomasz w wieku 20 lat poznał czternastoletnią Franciszkę. Było to w 1926 roku. Kiedy skończyła się wojna domowa, znaleźli pracę i pobrali się w Saragossie 16 czerwca 1939 roku, w kościele pw. San Gil. Oboje należeli do dzieła Opus Dei, byli jego supernumerariuszami (*Supernumerarios del Opus Dei*).

Zarówno Tomasz, jak i Franciszka wiele wycierpieli z powodów zdrowotnych. Tomasz Alvira zmarł w 1992 roku na raka, a Franciszka w 1994 roku na chorobę mózgu. Oboje zmarli w Madrycie w opinii świętości. Archidiecezja Madrytu dnia 9 lipca 2008 roku opublikowała wiadomość o rozpoczęciu procesu beatyfikacyjnego tego małżeństwa.

Tomasz Alvira to człowiek, który szedł przez życie pod rękę z Bogiem. Jego droga do świętości wiodła przez różne koleje losu. Jego życie było zwykłe, ale nie mogło być uznane za przeciętne. Za życiową drogę obrał spotkanie z Chrystusem. W jednym z listów do jednego z jego dzieci czytamy: „Wzruszyłem się wiele razy widząc jak duch św. Jose Marii Escrivy oddziałuje na życie twojego ojca; szczególnie na rodzinę i pracę apostolską (...). Otrzymać i rozpowszechnić Ducha Świętego mogą tylko osoby, które mają duszę czystą jak kryształ, który nie tłumi i nie zniekształca światła”.

Franciszka miała nieoceniony wkład w stworzenie rodziny. Ona była materiałem, oparciem, na którym powstał budynek. Dzisiaj, po zgłębieniu jej osobowości wiadomo, że jej intuicja była zgodna z rzeczywistością.

Najpierw Tomasz, a potem Franciszka szli śladem i wyznawali doktrynę założyciela Opus Dei, Josemarii Escrivy de Balaguer, którego poznali w 1937 roku. W ich domu słuchało się jego słów. „Myśląc o chrześcijańskich domach, chciałabym widzieć je wesołe i jasne, takie jak ten Świętej Rodziny”. Tą drogą – czasem wąską – podążają ludzie, którzy szukają świętości w mał-

żeństwie, idąc ścieżką Opus Dei. Josemaría Escrivá swoim słowem i przykładem chciał doprowadzić każdą osobę przed oblicze Boga, aby każdy mógł usłyszeć Jego zaproszenie. W obliczu Boga człowiek prawy, jakim był Tomasz, czuje się wezwany, a odwaga nakazuje mu stawić temu czoła. Idee, które składają się na przekaz założyciela Opus Dei, są dość jasne: każdy chrześcijanin od momentu chrztu zostaje wezwany do życia boskiego poprzez obracanie w świętość wszystkich swoich czynności. Jednocześnie natchnięty Duchem Świętym musi przekazywać Słowo Boże na całej ziemi, w swoim domu, w miejscu pracy. Jest narzędziem w warsztacie i ogniskiem w swoim domu. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wobec powyższych wymagań Tomasz był przygotowany na poświęcenie wszystkiego, na oddanie się w całości.

Ktoś, kto poznał Tomasza i Franciszkę, mógłby zadać sobie pytanie, które z nich było świętsze. Nie należy jednak porównywać. Święty jest ucieleśnieniem Ewangelii w konkretnym kontekście historycznym. Bóg nie powtarza swoich dzieł. Każdego kształtuje w indywidualny sposób, według potrzeb i odbioru danej osoby.





Śludzy Boży Giovanni i Rosetta Gheddo - Włosi

Drugą parą małżeńską, której trwa proces beatyfikacyjny, są śludzy Boży Giovanni i Rosetta Gheddo pochodzący z Włoch. Do dzisiaj w Tronzano są ludzie, którzy wspominają to małżeństwo ze wzruszeniem. Giovanni i Rosetta udowodnili, że pomimo trudnych doświadczeń, także w naszym czasie można żyć Ewangelią w sposób nadzwyczajny.

Giovanni (Jan) Gheddo urodził się w 1900 roku w Viancino (prowincja Vercelli). Pracował jako geodeta i mierniczy.

Rosetta (Róża) Franzi z kolei była od niego dwa lata młodsza, urodziła się w 1902 roku we Włoszech, w miejscowości Crova w prowincji Vercelli. Pracowała jako nauczycielka. Już jako młoda dziewczyna była dyplomowaną nauczycielką.

Jan przyjeżdżał do miejscowości Crova na rowerze. Widywał tam młodą nauczycielkę, która mu się spodobała. Zdobył informacje o niej i o jej rodzinie, a następnie udał się na spotkanie z jej ojcem, by zadeklarować poważne zamiary. Ojciec Rosetty zaprosił go do swego domu. Zawsze, gdy tam był, rozmawiał ze swoją ukochaną tylko w obecności matki lub innej

siostry. Nie widywał się z nią poza domem. Do ślubu wytrwali w czystości. Pokochali się i to na zawsze. Po ślubie zamieszkali w Tronzano. Umarli bardzo młodo: ona w wieku 31 lat i kilku miesięcy, on w wieku 42 lat.





*Studzcy Boży Jerônimo i Zélia
de Castro Abreu Magalhães - Brazylijczycy*

Kolejną parą małżeńską, oczekującą na beatyfikację, są małżonkowie Zélia e Jerônimo (Hieronim) pochodzący z Brazylii. Dali świadectwo życia, pomagając i głosząc Dobrą Nowinę wielu niewolnikom, których traktowali z wielkim szacunkiem i godnością. Pełni dobroci służyli słabszym, ofiarując im bogatsze życie; bogatsze, bo wypełnione Bogiem.

Hieronim urodził się w Magé, w Baixada Fluminense. Był synem właściciela ziemskiego, który przybył do Brazylii z Portugalii wraz ze swoim bratem – kapłanem. Hieronim zdobył zawód inżyniera. Zmarł w opinii świętości w 1909 roku. „Rankiem 12 VIII 1909 roku w dniu śmierci Hieronim powiedział: «Eucharystia jest moim życiem». Następnie przyjął Komunię św. «Już jestem gotowy. Teraz mogę oddać moją duszę Bogu». Kilka minut potem umarł”.

Zélia urodziła się w Niterói (właściwie miała na imię Elisa, ale nazywano ją Zelia). Była córką sekretarza Trybunału Sprawiedliwości. Otrzymała staranne wykształcenie artystyczne i literackie. Umiała grać na pianinie

nie, a także mówiła kilkoma językami. Oprócz portugalskiego, znała języki: angielski, włoski, francuski, niemiecki, łacinę i grekę. Zajmowała się swoim ojcem i mieszkała z nim do jego śmierci – do 1 listopada 1913 roku. Następnie postanowiła zrealizować swoje dawne pragnienie bycia siostrą zakonną i wstąpiła do Zgromadzenia Służebniczek Najświętszego Sakramentu, które zostało założone w 1912 roku, w Largo do Machado, w Rio de Janeiro. Zmarła w opinii świętości, jej szczątki znajdują się w kościele pw. Matki Bożej z Copacabana.





Słudzy Boży Sergio Bernardini i Domenico Bedonni - Włosi

Proces dotyczący świętości państwa Bernardini rozpoczął się 30 września 2005 roku w Modenie, natomiast gromadzenie dokumentacji trwało od 2006 do 2008 roku. Papież Franciszek ogłosił państwa Bernardini Czcigodnymi Sługami Bożymi. Decyzję tę podjął 5 maja 2015 roku. Sergiusz i Dominika byli prawdziwymi świadkami chrześcijańskiego małżeństwa, żyjąc prosto i autentycznie, jako wiarygodni świadkowie dla Kościoła. To właśnie dlatego papież Franciszek uznał, że zasługują na miano Czcigodnych Sług Bożych.

Sergiusz Bernardini i Dominika Bedonni żyli w górach, w Modenie, w ostatnim wieku. Byli prostymi i pobożnymi ludźmi.

Sergiusz urodził się w 1882 roku, w Pawullo w Modenie, w rodzinie rolniczej. Jego rodzice posiadali młyn nad rzeką Panaro. Sergiusz obdarzony był praktyczną inteligencją i szybko zdobywał różne umiejętności, co sprawiało, że nazywano go „człowiekiem o stu umiejętnościach”. Sergiusz otrzymał wychowanie moralne i religijne w swojej rodzinie, szczególnie od

mamy, mądrej i silnej kobiety. W 1927 roku, mając 25 lat, ożenił się z Emilią Romani. Małżonkowie prawie od razu utracili swoje pierwsze dziecko. Potem, w krótkich odstępach czasu, Sergiusz stracił ojca Giulia, mamę Kune-gundę, drugiego syna, żonę Emilię, brata Ettore, a w końcu ostatnie spośród dzieci – Ginę. W drugiej rodzinie, którą potem założył, wiele o nich nie wspominał; pamiętał jednak o zmarłych w swej codziennej modlitwie. Ponieważ pozostał sam z długami, wynajął młyn i podjął się pracy murarskiej wraz ze swoimi wujkami; dopiero później wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Dzięki pieniądзом zarobionym za oceanem pokrył wszystkie długi, a nawet, by wyrazić wdzięczność Bogu, ufundował jednemu z kościołów ży-randol. Następnie znów podjął się pracy murarza u boku wujów. Proboszcz, który miał do Sergiusza wielki szacunek, proponował mu, by został kapłanem, ale Sergiusz nie potrafił zmusić się do studiowania w wieku 32 lat. Wówczas wziął pod uwagę powtórne małżeństwo. W 1964 roku Sergiusz zachorował na miażdżycę. Zaczął podupadać na zdrowiu fizycznie i umysłowo, czemu towarzyszył kryzys duchowy. Sergiusz modlił się i utrzymywał się przy życiu poprzez rozmowę z kapłanami. Po dwóch latach choroby 12 października 1966 roku o trzeciej nad ranem odszedł w pokoju, w domu w Verica, w obecności małżonki i dzieci (oprócz siostry Agaty i siostry Amalii, które jako misjonarki przebywały w Australii i Brazylii).

Dominika Bedonni urodziła się w Verica 12 kwietnia 1889 roku. Pochodziła z domu zamożnych rolników, Enrico Bedonniego i Matyldy Caselli, posiadających ziemię i dom. Była pogodną dziewczyną, pełną życia, pobożną, aktywną i pracowitą. Ukończyła trzy klasy. W wieku 18 lat chciała wstąpić do zakonu, ale ostatecznie rozmyśliła się i zaniechała tego zamiaru. Przez krótki czas była nawet zaręczona, ale mężczyzna, za którego miała wyjść, zmarł przed ślubem.



*Studzy Boży Settimio Mauelli i Licia Gualaudris
- Włosi*

Settimio Manelli urodził się w Teramo (Abruzzo) dnia 25 kwietnia 1886 roku, w Niedzielę Wielkanocną, zmarł w Rzymie dnia 26 kwietnia 1978 roku, w święto Matki Bożej Dobrej Rady, w klinice „Villa Pia” przy Via Folco Portinari 5, w tym samym dniu, co został ochrzczony. Możemy wyróżnić w życiu prof. Manelliego trzy zasadnicze etapy: 1886-1924 – od narodzin do nawrócenia; 1924-1968 – w szkole św. o. Pio z Pietrelciny; 1968-1978 – droga do celu. Settimio Manelli przyszedł na świat w Teramo, malowniczym miasteczku abruzyjskim, położonym między Morzem Adriatyckim a wspaniałą górą Gran Sasso d'Italia. Był trzecim z sześciorga dzieci. Jego rodzina, chociaż była dobra, nie żyła głęboką wiarą chrześcijańską. Settimio wzrastał bez przewodnika duchowego, bez głębokiego przykładu życia chrześcijańskiego w domowych murach, lecz Opatrzność nad nim czuwała. Wyraźnie to pokazuje wydarzenie, które miało miejsce, kiedy Settimio miał 15 lat. On sam, jako dorosły, opowie o nim o. Pio z Pietrelciny. Pewnego dnia o świecie Settimio – młodzieniec żywy i niespokojny – idzie (jak czasem miał

w zwyczaju) na plażę w Giulianova, aby podziwiać wschód słońca. Lecz kiedy wpatruje się w horyzont, widzi nie słońce, ale wizerunek Maryi, która czule na niego spogląda. Settimio nie wierzy swoim oczom. Spuszcza wzrok i podnosi. Obraz ciągle tam jest. Ponownie spuszcza wzrok, odwraca głowę, patrzy na coś innego (łódź, piasek...), następnie znowu kieruje wzrok na horyzont. Maryja ciągle tam jest! Nie mogło to być przywidzenie. Nie umie wytłumaczyć tego zjawiska i nie przywiązuje do niego większej wagi, aż do spotkania – wiele lat później – o. Pio. Opowiedziawszy kiedyś świętemu o tym spotkaniu, usłyszy w odpowiedzi: „(Maryja) ukazała ci się, żeby być ci Matką!”. Ojciec Pio słusznie to zauważył. Maryja znad morza, jak dobra Matka, czuwała nad młodym Settimio, pozbawionym prawdziwie chrześcijańskiego życia rodzinnego. Istnieją racjonalne przesłanki, które pozwalają uważać za prawdziwe to krótkie, delikatne i milczące objawienie maryjne. Settimio nie był wcale „pobożny”, a więc tym bardziej nie był „fanatykiem” czy „świętoszkiem”. W Teramo Settimio ukończył szkołę podstawową, średnią i liceum o profilu humanistycznym. Już w liceum był cenionym pisarzem i początkującym poetą. Po liceum studiował na Wydziale Literatury Uniwersytetu Rzymskiego. W 1915 roku obronił pracę magisterską i przeniósł się do Bolonii, aby poświęcić się nauce prawa. Bardzo lubił klasycznych pisarzy greckich i łacińskich. Dużo trudu wkładał w naukę, bo aspirował do katedry uniwersyteckiej na Wydziale Literatury. Później porzucił owe ambicje kulturalne, aby całkowicie poświęcić się nowej rodzinie.

Licia Gualandris urodziła się 13 lipca 1907 roku w Nembro (Bergamo), została ochrzczona dwa dni później. Zmarła w Rzymie 18 stycznia 2004 roku. W Rzymie mieszkała przeszło pięćdziesiąt lat. W 1926 roku poślubiła Settimio Manelliego, poznała też o. Pio i została jego duchową córką. W 1976 roku świętowała z mężem złotą rocznicę ślubu. Dzięki łasce Bożej, od małego była pod opieką wspaniałego kapłana, ks. Giulio Bilabiniego, który zaszczerpił w jej sercu miłość do Eucharystii i Matki Najświętszej. Pełniła swoje zadanie żony z wiernością i miłością. Poświęciła całe swoje życie

licznej rodzinie, w czasie wojny oraz kiedy brakowało wielu wygód, w duchu wyjątkowej ofiary i wyrzeczenia. Liczne zebrane świadectwa mówią o niezwyklej kobiecie ze względu na ciągły uśmiech, nieustanną modlitwę oraz prawdziwie nadprzyrodzoną miłość. Była tercjarką franciszkańską (TOFI).

Rodzina każdego roku w dniu 13 lipca, aby uczcić urodziny Licia Gualandris, zbiera się w Sanktuarium Matki Bożej z Zuccarello, której służebnica Boża Licia była oddaną czcicielką. Oto relacja z jednego takiego zjazdu. „O godzinie 10.30 zaczyna się w Sanktuarium modlitwa różańcowa, w trakcie której rektor sanktuarium spowiada. Harmonijny śpiew siostr na wejście rozpoczął o 11.05 Mszę Świętą. Na zakończenie siostry zaśpiewały «Madonna nera» (Czarna Madonno), poruszającą pieśń, którą mama Licia bardzo lubiła. Nie zabrakło pełnych prawdy i miłości świadectw dwójki dzieci, które przypomniały autentyczną i czynną wiarę, poświęcenie, troskę o rodzinę, a także miłość i odwagę mamy w służbie bliźnim. Po Mszy św. wszyscy zebrawali się w przyległej do sanktuarium sali pielgrzyma, aby spożyć skromny posiłek. Tu również pojawiły się świadectwa tych, którzy mamę pamiętali. Następnie wiele osób zeszło do Nembro, aby nawiedzić monumentalny kościół pw. św. Marcina, w którym mama przyjęła chrzest, Pierwszą Komunię, bierzmowanie oraz dnia 15 lipca 1926 r. poślubiła tatę Settimia. Potem dom, gdzie się urodziła stojący przy piazza Mazzini 2, i wreszcie ostatnie miejsce zamieszkania przy via Cavour, w palazzo Bonomi, gdzie po raz kolejny zostali przyjęci z wielką serdecznością przez właścicieli, którzy uprzejmie umożliwili chętnym obejrzenie mieszkania, które mama Licia zajmowała wraz z rodzicami przed ślubem. Wreszcie zmęczeni, ale szczęśliwi z udanego dnia, udali się w drogę powrotną, zachowując w sercu wszystko, czego doświadczyli”. Co sprawia, że każdego roku, nie tylko dzieci i krewni, niektórzy w zaawansowanym wieku, ale też liczni wierni pokonują setki kilometrów, aby tu przybyć z nową radością i zapałem? Odpowiedź jest prosta: podziw i szacunek do dwojga wspaniałych rodziców 21 dzieci, któ-

rzy pozostawili światu wyrazisty przykład heroicznego życia chrześcijańskiego, bez kompromisów, bo nigdy z życiem nie dyskutowali i umieli nadać głęboki, chrześcijański wymiar wszystkiemu, co czynili. Obfitość wiary w szkole o. Pio ożywiła ich działania i sposób myślenia w każdej chwili, a także w każdej trudności, którą przechodzili, zdając się na wolę Bożą i opiekę Maryi. 27 czerwca 2014 roku w wikariacie Rzymu został rozpoczęty proces beatyfikacyjny.





*Śluzdy Boży Francesco Ugenti i Teresa Savilli
- Włosi*

Francesco (1912-1998) i Teresa (1913-1984) byli jednymi z pierwszych małżonków, którzy wstąpili do Instytutu Świętej Rodziny będącego częścią wielkiej Rodziny św. Pawła założonej przez bł. Jakuba Alberione. Wielu biskupów (ponad 60) opowiedziało się za rozpoczęciem ich procesu beatyfikacyjnego.

Francesco (urodzony w Torrito koło Bari) był szczególnie doświadczany. Najpierw umarła jego matka, a potem macocha, pozostawiając w domu kolejną dwójkę małego rodzeństwa. Jego wykształcenie nie przekraczało drugiej klasy podstawówki, był za to znawcą okrzesywania, zwłaszcza migdałowców i oliwek. Tym niemniej pozostał zwykłym rolnikiem. Nie zważając na różnice klasowe, poprosił o możliwość poślubienia Teresy należącej do Akcji Katolickiej – córki rodziny rzemieślniczej, która w pobliskiej Grumo Appula zajmowała się obróbką drewna. Zwyciężała miłość, Francesco i Teresa pobrali się w kwietniu 1942 roku, mieli prawie po 30 lat. Francesco był wtedy na froncie, ale otrzymał miesięczną przepustkę. Potem

musiał wrócić do swojego batalionu stacjonującego najpierw w Turynie, potem w Cuneo i wreszcie w Katanii.

W 1981 roku w rzymskim szpitalu „Forlanini” Teresie usunięto raka prawego płuca. Chemioterapia, której została poddana, spowodowała uszkodzenia w mózgu i całkowicie osłabiła organizm, prowadząc do śmierci, która nastąpiła 21 maja 1984 roku. Francesco żył prawie 15 lat dłużej, pogrążony w tęsknocie i samotności, które tylko wiara była w stanie złagodzić. Po cząwszy od 1992 roku – trzy udary, tyleż samo upadków oraz operacja kości udowej zmusiły go stopniowo do poruszania się na wózku inwalidzkim. Dał na nim przykład radosnego znoszenia ograniczeń fizycznych, rozświetlanych ciągłą modlitwą.

Umarł łagodnie, odchodząc do swojej Teresy, 18 listopada 1998 roku.





*Studzy Boży Marcello Inguscio
i Anna Maria Ritter - Włosi*

Małżonkowie Marcello (1934-1996) i Anna Maria (1938-1986) byli muzykami. Po raz pierwszy spotkali się w konserwatorium w Messynie. Następnie spotykali się w biednych dzielnicach Katanii, gdzie posługiwali potrzebującym. Rozumieli, że zostali dla siebie stworzeni, razem modlili się i pełnili posługę wolontariatu. Coś ich jednak dzieliło: on był katolikiem, ona protestantką. Nauka i modlitwa nie wystarczyły, dopiero szczególna łaska Maryi usunęła z oczu Anny Marii jakby zasłony, sprawiając, że zakochała się w Niej i w Eucharystii. I tak 6 sierpnia 1968 roku Marcello i Anna Maria wzięli ślub w „trójkę”: on, ona i Bóg. Bóg obecny również na przyjęciu w osobach trzydziestu niepełnosprawnych gości, karmionych przez małżonków we fraku i białej sukni.

Anna Maria narodziła się dla nieba w nocy z 2 na 3 stycznia 1986 roku. Marcello zmarł 10 lat później na zawał.

Proces beatyfikacyjny Sług Bożych Marcello Inguscio i Anny Marii Ritter, małżonków należących do *Missione Chiesa-Mondo*, został otwarty w piątek, 9 listopada 2001 roku w katedrze w Katanii.



*Studzy Boży Ulisse Amendolagine
i Lelia Cossidente - Włosi*

Proces beatyfikacyjny małżonków Ulisse (1893-1969) i Lelii (1893-1951) Amendolagine został otwarty 18 czerwca 2004 roku o godzinie 12.00 w Rzymie przez kard. Camillo Ruiniego, w obecności czwórki żyjących dzieci (Teresa, Francesco, Giuseppe – karmelita bosy, ks. Roberto – kapłan diecezji rzymskiej).

Ulisse był wymagający w pracy, poczynając od siebie, wrogo nastawiony do wszelkiej formy niezaangażowania, skuteczny w szybkim załatwianiu spraw oraz uprzejmy dla interesantów. Wykazywał wrodzoną niechęć do wszelkich form gratyfikacji, chociażby to był tylko bukiet kwiatów lub litr oleju (w czasie wojny cenniejszy od klejnotów). Ulisse, tak ma na imię urzędnik, o którym mowa, poślubił Lelię, która w miejscu, gdzie pracowała, zyskała przydomek „łagodnej nauczycielki” i „uśmiechniętej pani”. Cechy te będą jej towarzyszyć najpierw w pracy kasjerki banku, a później bibliotekarki. Obydwoje urodzili się w 1893 roku, on w Salerno, a ona w Potenzy; byli dziećmi z rodzin „ministerialnych”, które po wielu przenosinach osiedlili się w Rzymie. Tutaj w 1929 roku poznali się i tutaj 29 września

1930 roku wzięli ślub. Ulisse, poza tym, że był przystojnym mężczyzną, miał dobrą pracę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i pewną pensję. Jednak to, w czym Lelia się zakochała, to cechy charakteru: powściągliwość, zrównoważenie, refleksyjność i łagodność, uprzejmość i rozkochanie w naturze. Początkowa sympatia od razu zamieniła się w miłość, obydwójce odkryli, że łączy ich kolejna wspólna cecha, mianowicie głęboka i zdecydowana wiara oraz pragnienie założenia chrześcijańskiej rodziny. Od samego początku z nowożeńcami mieszkali jego rodzice i jej mama oraz intrygująca siostra Ulissego z mężem, potem również synem. Lelia prowadziła dom z łagodnością, ale też duchem prawdziwie menedżerskim.

Nie tracąc pogody ducha, mocno trzymała się z Ulissem modlitwy. U stóp łóżka ustawili dwa klęczniki, gdzie razem zaczynali i kończyli dzień. Na świat przyszło pięcioro dzieci, jedno po drugim między 1931 a 1935 rokiem. Wszystkie przyjęte jako dar, pilnowane w szkole i w czasie wolnym przez rodziców, którzy nigdy nie rezygnowali z roli wychowawców, towarzysząc im krok po kroku z mądrością i dalekowzrocznością. Potem nadeszła wojna, w czasie której opuścili Rzym, by schronić się w małej wiosce w Abruzji. Panował głód, żywność była wydzielana, pensja Ulissego nie starczała. On jednak, będąc bezwzględnie uczciwym, nie chciał korzystać z czarnego rynku. Sprawy przybrały zły obrót i Ulisse poważnie ryzykował, kiedy faszyci zaczęli trzymać go na oku z powodu bezkompromisowości oraz wierności papieżowi. Wysłali go nawet na wcześniejszą emeryturę, byle usunąć go z biura. Musiał wtedy uciekać i ukrywać się, żeby uniknąć deportacji do Niemiec. Został przygarnięty w wyższym seminarium w Rzymie, gdzie płacił za gościnę pracą bibliotekarza. Po zakończeniu wojny został przywrócony na swoje stanowisko, kontynuując pracę ze zwykłą pogodą i gotowością. Był lubiany, ale miał też przeciwników w tych, którzy nie podzielali jego zawodowego zaangażowania, powagi i rygorystyczności. Tak czy inaczej, wszyscy go szanowali jako osobę zdolną i pracowitą. Razem z Lelią żyli wiarą prostą, ale mocną, przenikniętą duchem karmelitańskim (Ulisse zapisał się do Trzeciego Zakonu, intensywnie żyjąc jego duchowością), który w centrum ma Eucharystię i jest stale oświecany przez

Maryję. Z pięciorga dzieci, w dwojgu dojrzało powołanie kapłańskie i zakonne, wspierane przez rodziców nawet wbrew opinii krewnych. Siostra i szwagier Lelii nie praktykowali i stali się żarliwymi chrześcijanami dopiero dzięki jej przykładowi i modlitwom. Lelia zachorowała na raka, który wyniszczył ją w przeciągu kilku lat. Umarła 3 lipca 1951 roku, zawierając się Maryi w strasznych cierpieniach. Ulisse, przytłoczony wdowieństwem, uległ pierwszemu paraliżowi, drugiemu cztery lata później, w 1965 roku. Były to lata udręki, cierpienia i upokorzenia, znoszone z niezachwianą wiarą, zakończone w ostatnich latach stopniowym podupadaniem na zdrowiu i półświadomością. Zmarł 30 maja 1969 roku. Proces beatyfikacyjny Lelii i Ulissego Amendolagine rozpoczął się w 2004 roku. 24 maja 2011 roku zakończono jego fazę diecezjalną.

W przypadku Lelii Cossidente i Ulissego Amendolagine rozpoczęto, na podstawie listów zebranych przez dzieci, dochodzenie, które doprowadziło 18 czerwca 2004 roku do otwarcia w Trybunale Wikariatu Rzymu etapu diecezjalnego procesów beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego. Dwa dochodzenia, odrębne, ale równoległe, ponieważ „świętość zasadniczo jest osobistą odpowiedzią na wezwanie Łaski Bożej” – wyjaśnił kard. Camillo Ruini, otwierając sesję inauguracyjną. Małżonkowie jednak przeżywali swoje życie chrześcijańskie i rodzinne „w sposób nierozłączny”, właśnie na mocy więzi mającej swoje korzenie w sakramencie małżeństwa. Wierność powołaniu oraz zadaniu wychowania po chrześcijańsku ich piątki dzieci; przykład życia dawany w okresie cierpienia przeżywanego w świetle głębokiej wiary; zaangażowanie całej rodziny w życie parafialne – są to, zdaniem kardynała, wzorowe cechy życia małżonków.

Lelia i Ulisse poznali się w Rzymie w 1929 roku, ślub wzięli rok później, 29 września 1930 roku, w parafii pw. św. Teresy przy Corso d'Italia prowadzonej przez karmelitów bosych. Obydwoje wkrótce czynnie się tam zaangażowali. On w Świecki Zakon Karmelitów Bosych, ona w Bractwo Szkaplerzne (*Madonna del Carmine*).

Sercem ich porozumienia jest obustronne odkrywanie wiary, która zawsze stanowiła mocny punkt ich związku małżeńskiego. Leonardo, pier-

worodny syn, urodził się 30 sierpnia 1931 roku. Wkrótce po nim przyszła na świat dalsza czwórka rodzeństwa. Wszyscy byli obecni na otwarciu procesów: Giuseppe, karmelita (przyjął imię o. Raffaele), Roberto, dzisiaj kapłan diecezji rzymskiej, Francesco i Teresa.

Lelia i Ulisse dbali o ich formację ludzką i religijną, przez ciągły dialog z nauczycielami, przez towarzyszenie im w szkole i w czasie wolnym. Takie samo otwarcie i dyspozycyjność charakteryzowały też ich relacje z innymi. Gotowi byli pomóc „dyskretnie i hojnie” – jak wspominało – każdemu, kto znajdował się w potrzebie. Zarówno w potrzebie materialnej, jak i duchowej.

W ten sposób przeżyli lata II wojny światowej: okupację niemiecką, ucieczkę z Rzymu, a potem schronienie w Rzymskim Seminarium Wyższym, lęk przed schwytaniem i odwetem ze strony Niemców, podważając zaufanie do Opatrzności nawet wtedy, gdy brakowało środków potrzebnych do przeżycia. Ich siła oparta była na wspólnej modlitwie, Eucharystii, zawierzeniu Matce Bożej. Lelia odeszła, zawierzając się Jej opiece 3 lipca 1951 roku po dwóch latach cierpień z powodu nowotworu. Ulisse żył 18 lat dłużej, zanim sam stawił czoło chorobie, która go zastała w 1955 roku. Zmarł 30 maja 1969 roku w ramionach Teresy, po przyjęciu sakramentów udzielonych przez dwóch synów – kapłanów. „W każdych warunkach i w każdym stanie, powinieneś zawsze starać się zasłużyć na Raj – pisała Lelia do syna Giuseppe, kiedy wybrał życie zakonne. – Tylko Bóg wie, dla kogo lepsze jest kapłaństwo, a dla kogo stan świecki, trzeba pozwolić Jemu działać”.





*Studzy Boży Francesco Bono
i Maria Rosaria De Angelis - Włosi*

Franco (1948-1996) i Maria Rosaria (1955-2000) wzięli ślub 7 października 1978 roku w Asyżu.

Franco Bono przyszedł na świat w 1948 roku w Lamezia Terme, od 1975 roku pracował w szpitalu w Locri jako lekarz specjalista anestezjolog, reanimacji i kardiolog, stając się szybko duszą oddziału reanimacyjnego. Wspominają tam jego pełną dyspozycyjność i wysoki profesjonalizm, ale przede wszystkim zdolność towarzyszenia i wspierania chorych w stanie terminalnym niezłomną wiarą. W Locri oprócz pracy, znalazł też miłość, zaręczył się z Marią Rosarią De Angelis, urodzoną 7 października 1955 roku, studentką medycyny. Oboje wychodzili z szeregów Akcji Katolickiej, której zawdzięczali formację duchową zapewniającą solidne podstawy ich małżeństwu. „Byli wyrazem dojrzałej miłości, a dojrzała miłość zawsze otwiera się na innych” – mówią przyjaciele. I rzeczywiście, para mocno angażowała się w diecezjalne duszpasterstwo: towarzyszyła w drodze narzeczonemu, spotykała się z parami małżeńskimi, oddała do dyspozycji innych swój profesjonalizm i doświadczenie lekarskie. Z tego powodu Maria Rosaria

zaraz po studiach poświęciła się pracy jako lekarz pierwszego kontaktu, wykonując ją jakby to była misja. „W pracy zawodowej staram się żyć Ewangelią. Dostrzeganie Jezusa w człowieku najmniejszym, chorym, samotnym, z marginesu, prowadzi mnie do ofiarowywania się każdemu w sposób przekraczający zwykły obowiązek zawodowy, i to moje dawanie się, zwraca mi się z nawiązką w postaci wdzięczności, radości, zrozumienia” – zwierzyła się najbliższemu. Podczas gdy mąż kontynuował swoje zaangażowanie w Akcję Katolicką, przez 9 lat pełniąc funkcję przewodniczącego diecezjalnego oraz zakładając w diecezji kościelny ruch zaangażowania kulturalnego, ona udzielała się w Ruchu Focolare, stając się w nim odpowiedzialną za całą Lokrydę. „W atmosferze szerzącego się bezprawia, w jakiej żyjemy, jesteśmy przekonani, że klasa polityczna musi dać znak, musi umieć powiedzieć, że w Pałacu zmieniła się muzyka”. Powtarzając to wielokrotnie publicznie, w 1993 roku dla Franco przyszła chwila wyrażenia tego w praktyce, kiedy sam wszedł do gry. Ubiegał się o fotel burmistrza, by postawić w centrum „obywatela z jego podstawowymi prawami i potrzebami” w mieście, w którym – jak sam to określił – „może bardziej niż gdzie indziej, polityka jest wyrazem faworytyzmów, interesowności, panoszenia się i kumoterstwa”. Został wybrany, ale naciski ze strony starej nomenklatury, wykluczonej w sposób druzgocący z jego listy, były tak silne, że zaledwie sześć miesięcy później musiał zrezygnować. Tymczasem niewzruszenie kontynuował swoje zaangażowanie na rzecz promowania „uświęcenia sumień”, które uważa za jedyne sposob, by pozytywnie wpłynąć na rzeczywistość kalabryjską i śródziemnomorską. Z ich małżeństwa przyszło na świat pięcioro dzieci, ostatnie urodziło się po śmierci ojca. W Wielką Sobotę, 6 kwietnia 1996 roku, Franco miał wypadek na torze bobslejowym w Sila, ratując przy tym najmłodszego syna. Po 18 dniach, 24 kwietnia 1996 roku, zmarł w stanie śpiączki. Wspólnota kościelna zaczęła wtedy lepiej dostrzegać rolę, jaką Franco w niej pełnił, nawiązując relacje, dając świadectwo wiary, pokornie służąc bliźniemu. Maria Rosaria stawiała czoło straszliwej próbie wdowieństwa, aż do odkrycia u niej nowotworu trzustki, który zabrał ją po 39 dniach. Umarła 15 grudnia 2000 roku, starając się „kochać Jezusa Opusz-

zonego, nie słowami, ale coraz bardziej, coraz lepiej i konkretniej”. Chiara Lubich ogłosiła jej śmierć *fokolarynom* na całym świecie, nazywając ją „prawdziwym arcydziełem ludzkim i boskim”. Ich biskup tak próbował podsumować przygodę duchową tej pary: „prześcigali się w drodze do raję i razem osiągnęli szczyty wiary, heroizm życia chwilę obecną, profesjonalizm w posłudze, otwarcie nawet na niezrozumiałą wolę Bożą”. Świętość zwyczajna, która pociąga właśnie dlatego, że jest dostępna dla wszystkich.





Wspólnota dialogu z Bogiem i i Kościołem

Louis i Zélie Martin kierowali się w życiu zasadą: „Służyć Bogu jako pierwszemu”. Ich celem, za którym podążali przez całe życie, było osiągnięcie świętości. W codzienności wypełnionej zarówno radościami, jak i krzyżami, całkowicie poświęcali się woli Boga. Właśnie w ten sposób osiągnęli świętość i to zakorzenioną w zwykłej szarej codzienności, ukazywaną dziś przez Kościół.

Całe życie rodziny Martin było podporządkowane życiu parafii. Dzień małżonków rozpoczynał się Mszą św. o godzinie 5.30. Nawet jeśli czuwali do późna lub też mieli ciężki post, wstawali zawsze o godzinie 5.00. Gdy sąsiedzi słyszeli odgłos zamykanych drzwi, wiedzieli, że państwo Martin idą do kościoła, a oni mogą jeszcze sobie pospać. Przystępowali do Komunii św. co najmniej raz w tygodniu i zawsze w pierwszy piątek miesiąca. W niedzielę cała rodzina uczestniczyła w sumie, nieszpórach, a w czasie rekolekcji i specjalnych kazań w nabożeństwach wieczornych. Uczestnictwo w liturgii nie było przymusem ani przyzwyczajeniem, ani tym bardziej kłopotliwym obowiązkiem, lecz potrzebą, odpoczynkiem, prawdziwym świętem.

A przecież często musieli pokonywać również zmęczenie i rozmaite troski. Zelia pisała o tym w taki sposób: „Dzisiejszego ranka spałam, ubierając się, spałam idąc, spałam na pierwszej Mszy Świętej, klęcząc, stojąc, siedząc, modląc się”. Jeśli uczestniczyli w pielgrzymce, wracali do domu pełni miłych wrażeń, które dostarczały im na długo tematów do rozmów.

Ludwik i Zelia potrafili uznać ważną rolę sakramentu Eucharystii, stąd wynikała świętość w ich postawie wobec Mszy św. Bardzo poważnie traktowali przygotowanie ich samych oraz dzieci do każdej komunii. Nie mieli też wątpliwości, by córkę Leonię wysłać do szkoły żeńskiej do sióstr wizytek, by dobrze przygotowała się do przyjęcia Pierwszej Komunii św. Zelia dobrze wiedziała, że przygotowanie to jest przede wszystkim łaską. Jak wspomniano wcześniej, Msza św. w rodzinie Martin zajmowała miejsce nadrzędne w stosunku do innych czynności, co wpajali także swoim córkom. Ludwik i Zelia uczestniczyli w Eucharystii, nawet gdy wymagało to od nich bohaterstwa, na przykład podczas choroby, gdy poruszanie się sprawiało im cierpienie.

Osobne ważne miejsce w życiu państwa Martin zajmowały, poza Eucharystią, wszystkie sakramenty. Głęboko wierzyli, że chrzest wprowadza dziecko w tajemnicę śmierci i zmartwychwstania Chrystusa i daje łaskę uświęcającą duszy ochrzczonego. W dniu chrztu św. pozostałe obecne dzieci otrzymywały dwa kilogramy wybornych słodczy. Kolejne ważne miejsce w życiu tych małżonków zajmowała adoracja Najświętszego Sakramentu. Ludwik wraz z przyjaciółmi z Alençon uczestniczył co miesiąc w nocnej adoracji, ta forma modlitwy była mu bardzo droga. Podobne spotkania zorganizował w Lisieux. Ludwik i Zelia codziennie przed figurą Matki Bożej modlili się za swoje dzieci do Boga, aniołów i dusz czyścicowych. Uczestniczyli w świętach liturgicznych, procesjach, rekolekcjach i misjach. Zabierali dziewczynki na religijne uroczystości oraz zachęcali je do częstej modlitwy. Ponadto żywo interesowali się ich życiem duchowym, gdy przebywały na pensji w Mans, czego wyrazem są listy pisane do nich: „Myślę, że przystą-

picie dzisiaj, w dzień Wszystkich Świętych, do Komunii świętej, jak również jutro, w Dzień Zaduszny”.

Ludwik i Zelia należeli do licznych pobożnych towarzystw i zapisywali tam też swoje dzieci. Zelii jako członkini Trzeciego Zakonu Franciszkańskiego, szczególnie bliska była duchowość Poverello (św. Franciszka z Asyżu), gdyż pomagało jej to w wyzbyciu się zbytniej surowości wyniesionej z domu rodzinnego. Modlitwa w domu Martin była jak oddech; była ich pierwszą bronią. Teresa wyjaśnia, że modlenie się jest dźwignią, która unosi świat. Ludwik i Zelia wraz z rodziną odprawiali liczne nowenny do św. Józefa. Modlili się przed i po każdym posiłku, a wspólnie wieczorem z wszystkimi członkami rodziny. Ludwik i Zelia zasypiali dopiero wówczas, gdy ostatnie chwile dnia poświęcili Panu Bogu. Ogromnie czcili modlitwę różańcową. Zelia zwierzyła się kiedyś swojej przyjaciółce, że chciałaby być „prostą kobietą odmawiającą różaniec we wnętrzu kościoła nieznaną przez nikogo”. Zarówno Zelia, jak i Ludwik cieszyli się, widząc, kiedy ich dzieci gorliwie się modliły i uczestniczyły pobożnie we Mszy św. czy innych nabożeństwach. Drugą ich bronią było świadectwo ofiarowane przez ich własny przykład życia chrześcijańskiego. Ludwik powtarzał dewizę bł. Fryderyka Ozanama: „Nie czyń, aby Cię widziano, lecz pozwól się widzieć”.

Ludwik praktykował ćwiczenia duchowe u trapistów w Mortagne. Zabierał również dzieci na pielgrzymki do kościoła pw. MB Zwycięskiej w Paryżu, do Seez, Chartres, Lourdes. Z kolei Zelia, będąc franciszkańską tercjarką, często bywała w klasztorze klarysek w Alençon.

Państwo Martin przestrzegali skrupulatnie zalecanych przez Kościół postów, a nawet sami decydowali się na ich bardziej radykalną postać: nie jadał nic aż do południa, a wieczorem pozwalali sobie jedynie na lekki posiłek, z wyjątkiem oczywiście tych okresów, gdy Zelia była w ciąży. Niezapowiedzianego gościa częstowano sutą kolacją, którą musiał spożyć sam. Zachowanie postu było dla małżonków równie trudne, jak dla innych. Zelia

potwierdzała to słowami: „jesteśmy w pełnym okresie pokuty. Na szczęście wnet się on kończy! Cierpią z powodu postu i wstrzeźliwości! To nie dlatego, jakoby to umartwienie było zbyt surowe, ale mam słaby żołądek i jestem tak tchórzliwa, że gdybym szła za swoją naturą, nie zniosłabym tego wszystkiego”.

Ludwik i Zelia wiedzieli, że „nie ma świętości bez wyrzeczenia i walki duchowej” (KKK 2015). Byli przekonani, że Bogu należy służyć jako pierwszemu we wszystkich dziedzinach życia. „Serce w Bogu, stopy na ziemi” – te słowa chyba najlepiej określają sposób, w jaki owo małżeństwo postępowało w życiu. Jednocześnie w sercu mieli zapisane słowa św. Augustyna, którymi na co dzień żyli: „Stworzyłeś nas (...) jako skierowanych ku Tobie. I niespokojne jest serce nasze, dopóki w Tobie nie spocznie”. Ludwik i Zelia pragnęły wypełniać tylko wolę Bożą, nieustannie rezygnowali z wypełniania własnej woli. Nawet w najtrudniejszych momentach życia mówili Bogu fiat. Wszelkie trudności i cierpienia ofiarowywali Bogu, podstawą ich duchowości była bowiem postawa ofiary.

Szczególne miejsce w ich życiu zajmowała Maryja. Każdego dnia modlili się do Niej, ślubowali kochać Ją jak matkę. Nosili szkaplerze – podczas ekshumacji zostały one odnalezione przy ich szczątkach jako jedyna niezniszczona część odzieży. Do noszenia szkaplerza przekonali również swoje dzieci – w ten sposób chcieli osłonić je płaszczem Najświętszej Maryi Panny.

Najważniejszymi lekturami w domu państwa Martin były takie książki, jak: *O naśladowaniu Jezusa Chrystusa*, *Podręcznik chrześcijanina*, *Rok liturgiczny*, wiersze Wiktora Hugo, Lamartinne'a, gazeta „La Croix”. Być może w obawie przed złym wpływem prasy „Tatuś zabronił nam czytania jakichkolwiek dzienników”.

Religijność Ludwika i Zelii była pozbawiona dewocji. Zelia np. otwarcie wyrażała swoje przekonania co do wygłaszanych w kościele nauk: „Mamy od tygodnia dwóch misjonarzy, którzy prawią nam trzy nauki dziennie. We-

dług mnie, jeden nie mówi lepiej od drugiego. Z obowiązku jednak chodzimy ich posłuchać i – dla mnie przynajmniej – jest to jeszcze jedna pokuta więcej”. Nic też nie mówiła, jeśli czteroletnia Terenia modliła się następnego dnia, gdy zapomniała to zrobić wieczorem. Uważała też, że szósta rano to zbyt wczesna pora, jak dla młodej Maryni, by uczestniczyła we Mszy św. Jednak jej życie było świadectwem zawierzenia Bogu we wszystkim, zarówno w sprawach związanych z życiem tu na ziemi, jak i życiem przyszłym. Państwo Martin całkowicie oddawali się Bogu i zgadzali się z Jego wolą: „(...) dobry Bóg pomaga wszystkim, którzy w Nim ufność pokładają, i nie widziano nikogo, kogo by On zawiodł”. Wpajali tym samym dzieciom, że każdy chrześcijanin powinien dążyć do świętości: „Mam nadzieję, że będzie dobrą dziewczyną (Marynia), ale chciałabym, by była świętą, tak jak i Ty, moja Paulinko”. Zdawała sobie jednocześnie sprawę, że „potrzeba całego życia, by dojść do doskonałości”. Swoje córki zachęcała do tego, by pracowały nad sobą i były wytrwałe. Według niej rodzice powinni wychowywać swoje dzieci dla nieba. Pragnęła dla nich świętości, ale nie utożsamiała tego z powołaniem zakonnym. Często nawet miała wątpliwości, czy jej córki byłyby dobrymi kandydatkami na zakonnice.

Życie Ludwika i Zelii było przepełnione prawdami ewangelicznymi i to na co dzień widziały ich córki. Państwo Martin swoje czyny opierali na nauce Chrystusa: *Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie* (Mt 5,37a). Właśnie taki wzorzec szczerej i prostolinijnej religijności pokazywali swoim dzieciom. Córki państwa Martin zaczęły szybko naśladować swoich rodziców, na przykład w pragnieniu nawracania dusz czy też w składaniu Bogu czegoś w ofierze. Dawali oni prawdziwy przykład życia chrześcijańskiego, byli dla nich żywymi obrazami Pana Boga. Jak napisała kiedyś św. Teresa od Dzieciątka Jezus: „Moi rodzice byli bardziej godni nieba niż ziemi”. Naśladując Chrystusa, Zelia i Ludwik pociągnęli za sobą wszystkich ludzi według wielkiej reguły: *Pociągnij mnie za sobą. Pobiegnijmy* (Pnp 1,3). To jest tajemnica zawarta w ufnej („ślepej”) wierze Martin.

Państwo Martin byli katolikami na miarę swoich czasów. W ich życiu wiara przeplatała się z patriotyzmem, obawiali się antyklerykalnej lewicy, a jednocześnie byli mocno przekonani, że Pan Bóg wspiera ich kraj. Nawet w najtrudniejszych sytuacjach zawsze pokojowo potwierdzali swoją wiarę.

Podobnie jak w przypadku Martin, także dla **Luigiego i Marii Beltrame** dzień rozpoczynał się od Eucharystii. Codziennie rodzina uczestniczyła we Mszy św., po której witali się pocałunkiem („tak jakby dzień dopiero teraz naprawdę się zaczynał”), jedli śniadanie i rozpoczynali pracę. Wspólnie ze spowiednikiem przygotowali „Regulamin duchowy”, w którym zawarli swoją dewizę: „Świętość nie polega na dokonywaniu niezwykłych rzeczy, ale na czynieniu dobrze, coraz lepiej, tego, co przynależy do obowiązków nasze go stanu”.

W 1920 roku wspólnie przeprowadzili intronizację Najświętszego Serca Jezusa. W domu panował zwyczaj wspólnych, stałych codziennych modlitw, m.in. wieczornego różańca. Inicjatorką praktyk pobożnych była przede wszystkim Maria. Luigi przed ślubem był człowiekiem prawym, ale nie był szczególnie religijny. W pierwszych latach małżeństwa pod względem praktyk religijnych był właściwie neofitą. Później pod wpływem żony jego religijność dojrzewała. Oficjalny watykański życiorys określa jego pobożność charakterystycznymi słowami: „Nie było w niej ekshibicjonizmu”. Uważał, że wiarę należy wyrażać przede wszystkim czynem, a nie słowem. Jako dojrzały człowiek Alojzy uczęszczał na wieczorowe kursy teologii dla świeckich i spotkania poświęcone kulturze religijnej.

Luigi i Maria czynnie udzielali się w ruchu Odrodzenia Chrześcijańskiego oraz we Froncie Rodziny. Maria od razu podjęła się prowadzenia grupy, której członkowie co jakiś czas spotykali się pod przewodnictwem kapłana w ich domu i zajmowali się różnymi zagadnieniami dotyczącymi życia duchowego i chrześcijańskiego. Zależało jej przede wszystkim na formacji duchowej młodych rodzin. W tym duchu organizowała liczne kursy dla narzeczonych z różnych środowisk społecznych, które odbywały

się w przeróżnych miejscach, nawet w najskromniejszej salce parafialnej na peryferiach miasta, gdzie kościół był jeszcze w budowie.

Także centralnym punktem w życiu **Tomása i Paquity Alvira** była Msza św. Aby zgrać się godzinowo w tygodniu, Tomasz i Franciszka chodzili na Eucharystię w innych godzinach. Ranne wstawanie nie stanowiło problemu. Podczas wojny domowej w Hiszpanii, kiedy przebywali w Saragossie, Franciszka chodziła na Mszę św. w Bazylice Pilar o godzinie 5.30 rano. Każde z nich przychodziło na Mszę św. kilka minut wcześniej, żeby przygotować się do najważniejszej chwili w ciągu dnia. O tym, jak poważne mieli podejście do Eucharystii, pokazuje jeden z epizodów z ich życia. Dom, w którym mieszkali w Nunez de Bilbao był wynajęty. Kiedy byli już w podeszłym wieku, nadarzyła się okazja, żeby kupić mieszkanie na przedmieściach miasta. Mimo że wiązali z nim duże nadzieje, byli gotowi odwołać projekt, gdyż w pierwszym momencie wydawało się, że nie ma w pobliżu kościoła. Podczas rozmowy z potencjalnymi sąsiadami okazało się jednak, że w pobliżu jest miejsce, gdzie można uczestniczyć we Mszy św. Ten argument był decydujący w podjęciu decyzji o kupnie mieszkania.

Tomaszowi wiele bólu sprawiało opuszczenie Mszy św. Jedna z córek opowiada: „Pewnego dnia po pracy ojciec wrócił do domu około 21.00 (pracował ciężko, nie tak jak to się zrobiło modne w dzisiejszych czasach). Zawsze wracał do domu wesoły, ale tego dnia zawstydzony, z poczuciem winy. Pamiętam, że wszedł do kuchni, gdzie siedziały moja matka, jedna z moich siostr i ja. Natychmiast wyznał nam powód swojego przygnębienia. Od wielu lat nigdy nie przytrafiło mu się nic podobnego. Z powodu nieoczekiwanych wydarzeń i przeciwności losu nie zdążył pójść na Mszę św. (oczywiście mówimy o dniu powszednim, nie o niedzieli). Wyczuwało się niesamowitą powagę w jego słowach i żal osoby prawdziwie kochającej (jeśli można tak to nazwać). Byłam wtedy nastolatką i wywarło to na mnie ogromne wrażenie. Ojciec mówił to z taką naturalnością i prostotą. Bez żadnej przesady mówił, że takie zachowanie nie było do niego podobne”. Kiedy

zna się nieskończoną wartość Ofiary Ołtarza, każda przeszkoda robi się mało istotna. Msza św. jest priorytetem i kto to odkryje, jest pod niesamowitym wrażeniem.

Ubiór i wygląd również tworzyły część przygotowania do uczestnictwa we Mszy św. Oboje bardzo ubolewali nad faktem, iż latem ludzie przychodzili do kościoła w nieodpowiednim stroju, niestosownym do miejsca, w którym miała się odbyć Msza św. Oni sami byli zawsze ubrani stosownie do okazji: Franciszka skromnie, stosownie do wieku, a Tomasz zawsze w krawacie oraz lekkim (mniej formalnym) garniturze w okresie letnim. Kiedy był już bardzo wiekowy i ciężko mu było wytrzymać upał, jedna z jego córek zaproponowała, żeby zdjął krawat i rozpiął górny guzik od koszuli. W odpowiedzi Tomasz nie przytoczył żadnych teologicznych argumentów, ale kierując się zdrowym rozsądkiem, odpowiedział: „Słuchaj córeczko, jeśli jutro Król przywoła mnie na audiencję, to jak pójdę ubrany?”.

Po zakończeniu Mszy św. Tomasz i Franciszka pozostawali kilka minut w skupieniu, w akcie dziękczynienia. Ich dzieci, zaraz po przyjęciu Komunii św., nauczyły się tego od rodziców. Rodzice pozostawiali ich, aby sami odkryli swój osobisty związek z Bogiem. Nigdy nie zapomnieli skupienia i uwagi rodziców w tych momentach. Niektórzy zapamiętali konkretne przykłady. Ich córka Teresa pamięta, że kiedy jej matka była już schorowana po przejściu drugiego udaru mózgu, ciągle z tym samym zapalem chodziła na Mszę św. Pewnego razu w czwartek zaproponowała córce, aby odmówiły modlitwę *Adoro te devote* („Adoruję Cię ja, wierząca”). Podczas gdy Teresa szukała modlitwy w książeczce do nabożeństwa, jej matka zapytała: „Nie znasz jej na pamięć?”. „Ja jej nie znałam, ale moja matka, tak. Odmawiam ją często jako zadośćuczynienie” – mówiła.

Modlitwa i Msza św. Tomasza i Franciszki nie zaczynały się od znaku krzyża przy wejściu do kościoła ani nie kończyły po zakończeniu Mszy. Przygotowania zaczynały się już poprzedniego wieczoru. Mieli oni

świadomość, że jest to ważna rzecz, do której należy przygotować się na czas.

Tomasz był głęboko przekonany co do prawdy słów wypowiedianych na Mszy św. przez kapłana w czasie konsekracji: *Quod pro Vobis tradetur* („Oddaję się za Was”). „W tym wszystko jest zawarte” – mówił. Dla Franciszki Msza św. miała wartość wybawczą. Powierzała na niej, podobnie jak Chrystus, wszystkie swoje cierpienia, jednak bez nadmiernego użalania się.

Fundamentem wspólnego życia Tomasza i Franciszki była modlitwa, która kształtowała ich życie. Zawsze znajdowali oni czas na modlitwę rano i wieczorem. Tak było przez całe życie, zarówno wtedy, gdy opiekowali się ośmiorgiem dzieci, jak i wówczas, kiedy byli już sami: w czasie wyczerpanej pracy i w czasie odpoczynku, w domu i w podróży, w zdrowiu i w starości, dzień po dniu. Kiedy rozmawia się z Bogiem, inni ludzie dostrzegają ten dialog. Rosario Agustin, koleżanka Franciszki, opowiada: „Zapamiętałam Franciszkę zawsze wesołą. Musiała mieć jakieś problemy, myślałam, ale musi je rozwiązywać z Bogiem. Nie jest możliwe zawsze być szczęśliwym”. Życie z Bogiem ma swoje konkretne odzwierciedlenie w codziennym życiu. Takie przykłady zebrał w liście przyjaciel rodziny Guillermo Alonso del Real. „Ostatnimi dniami przypominam sobie ubiegły rok i pewną rodzinę, której zazdrościłem..., ponieważ tam czuło się obecność Boga (...)”. Na modlitwie pytali Pana Boga, czy zostawić daną pracę, jaką szkołę wybrać dla dzieci, gdzie wyjechać na letni wypoczynek. Ich dzieci, już duże, wspominają, że ich decyzje, choć ciągle spontaniczne, były bardzo ważne. To właśnie było dla nich istotne – pozostawanie do dyspozycji Boga. To jest język miłości, bo modlitwa jest albo nauką miłości, albo niczym. Na różnych etapach życia tego małżeństwa to modlitwa była wyznacznikiem ich drogi. W chwilach bliskości z Bogiem starali się rozeznaczyć drogę i niedogodności, na które tam natrafiają. Modlitwa pomagała im rozważać różne okoliczności życia i pytać siebie, co Bóg od nich oczekuje w tej sytuacji. Stawali twarzą

w twarz z Bogiem, żeby zobaczyć, czy jest zadowolony. Jeśli nie, starali się to korygować.

Rodzina Alvira kochała mocno Kościół. Cierpieli i modlili się gorliwie, gdy ktoś niesłusznie go obrażał. Posiadali głęboką wiarę i kochali papieża. Próbowali przekazać to również dzieciom. Od najmłodszych lat rodzice tłumaczyli im, że muszą kochać papieża niezależnie od tego, jaki jest, oraz nieustannie się za niego modlić. Przez lata więc modlili się za: Jana XXIII, Pawła VI, Jana Pawła I i Jana Pawła II. Niektórym z nich zapisał się w pamięci obraz śmierci papieża i wyboru jego następcy, którego powierzali modlitwie.

W rodzinnym archiwum znaleziono kopie dwóch listów. Pierwsza była skierowana do Pawła VI. Zapewniała o ich oddaniu i wyrażała wdzięczność za pracę duszpasterską. „Z jaką radością i wdzięcznością otrzymałem Wasz ostatni dokument o etyce seksualnej, który w tak czytelny sposób potwierdza doktrynę Kościoła w momencie wielkiego zamieszania (doktrynalnego)”. W 1989 roku pisze do Jana Pawła II: „Piszę tę kartę w celu wyrażenia ogromnej radości, którą odczuwam czytając często Wasze przemowy i kazania, w których odnosicie się do rodziny i wychowania dzieci. (...) Dalej, wyraża gorliwą wolę wielu rodziców i nauczycieli do dalszego słuchania instruktorzowych słów Papieża, szczególnie w momentach, kiedy pojawiają się wątpliwości, a słowa pokazują właściwą drogę”. W tym sensie częste podróże do Rzymu miały dla nich ogromne znaczenie. Pojechać do Rzymu oznaczało przede wszystkim zobaczyć papieża. Za pontyfikatu Jana Pawła II uczestniczyli w audiencji, na której udało im się pocałować pierścień i wypowiedzieć kilka słów. W salonie ich domu obecność Jana Pawła II była szczególnie widoczna. Mieli tam dwa zdjęcia. Jedno z nimi i dwa pozostałe z jednym z ich dzieci. Były częścią rodzinnego skarbu.

Podobnie jak dla wspomnianych małżonków, świętość **Giovanniego** i **Rosetty Gheddo** miała swoje źródło również w codziennej modlitwie, Mszy św. i różańcu, oddaniu Matce Bożej (Madonnie z Oropa), w poboż-

nych lekturach, wierności Kościołowi – w życiu dla innych i dla Kościoła. Wieczorami, po kolacji (wtedy nie było telewizji), siedząc dokoła stołu wspólnie odmawiali różaniec i wieczorne modlitwy. Nigdy nie rozmawiali o świętości czy o doskonałości chrześcijańskiej, ale nią żyli i wszyscy ludzie o tym wiedzieli. Wspominają o tym nawet przeszło pół wieku po ich śmierci. Obydwoje aktywnie angażowali się w działalność Akcji Katolickiej, która w tamtym czasie była „szkołą świętości”.

Niegasnącym pragnieniem zarówno **Jerônimo**, jak i **Zélii** było całkowite oddanie się Bogu i służenie Mu. Centrum swojego życia uczynili Eucharystię, którą traktowali jako wielki dar. Dążyli do tego, aby wszyscy żyjący wokół nich mogli w niej uczestniczyć i czerpać z niej wszelkie łaski.

Sergiusz Bernardini i **Dominika Bedonni** nawet po ciężkim tygodniu pracy nie zwalniali się z całkowitej wierności świątecznej liturgii. W Eucharystii zawsze uczestniczyli na czczo, zachowywali post od północy. Dominika uczęszczała na niedzielną Mszę św. nawet w czasie licznych ciąż. W kościele odnajdywała pokój i wytchnienie. Dzień Pański w domu Bernardini był świętem. Cały tydzień był przeżywany w oczekiwaniu na ten jeden dzień, a z kolei święta z kalendarza liturgicznego wyznaczały rytm życia w tej rodzinie. Jedna z córek wspomina, że świętowanie zaczynało się już dnia poprzedniego: „Mama polecała nam wypolerować buty i uporządkować ubranie, które każda z nas zakładała, idąc do kościoła. Miałyśmy przygotować też książeczkę do nabożeństwa i katechizm. W ten sposób nasze małe serce przygotowywało się do wielkiego spotkania w dniu świętym. Kiedy było nas już dużo, starsze dziewczynki szły z mamą na pierwszą Mszę, a reszta z tatą na Mszę o jedenastej”. Rodzina Bernardini nie ograniczała się jednak do porannej Mszy św. Po południu z równie ogromnym zaangażowaniem uczestniczyła w niesporach połączonych z błogosławieństwem eucharystycznym. Dzieci opowiadają, że kiedy przechodziły przed kościołem, cmentarzem albo figurką Matki Bożej np. na skrzyżowaniu dróg, robiły znak krzyża i odmawiały modlitwę. Czasami w drodze do szkoły odma-

wiały różaniec. Przed krzyżem powtarzały modlitwę, której nauczyła ich Dominika:

Krzyżu święty, krzyżu godny. I ty mnie zbawiasz i czynisz godną.

I ty mi wskazujesz dobrą drogę. I do zbawienia mojej duszy.

Sergio ponad gotowość podjęcia się każdej pracy przedkładał parafię. Wykorzystywał swoje zdolności i umiejętności, by czynić kościół coraz piękniejszym i funkcjonalnym – wręcz tym się szczylił. Zawsze też poważał swoich proboszczów, wyrażał się o nich z należytych szacunkiem. Jeśli jakiś kapłan z sąsiedniej parafii poprosił go o pomoc, Sergio przerywał swoją pracę i niezwłocznie śpieszył mu z pomocą. Robił to z radością. Tak też postępował wobec ludzi przez całe życie.

Sergiusz i Dominika wspierali religijne i misyjne powołania swoich dzieci. Uczestnicząc osobiście w ich duchowości, w 1927 roku stali się współpracownikami paulinów, a w latach 1937-1938 wstąpili do Trzeciego Zakonu św. Franciszka. Adoptowali afrykańskiego seminarzystę, Felixa Ade Joba, który został potem kapłanem w Nigerii, następnie biskupem i Przewodniczącym Konferencji Episkopatu. W dramatycznym czasie II wojny światowej Sergiusz pokazał swą wielką wiarę w Boga i miłość bliźniego. Podczas najazdu schwytali go Niemcy, ale zaraz wypuścili, ponieważ był już w podeszłym wieku. Po wojnie komuniści w Emilii Romanii, pałając nienawiścią do Kościoła, zabili wielu kapłanów i innych wpływowych chrześcijan. Sergiusz za otwarte świadectwo wiary został umieszczony na liście osób do „wyeliminowania” po przewidywanym przez komunistów zwycięstwie w wyborach w 1948 roku. Od 1950 do 1951 roku Sergiusz i Dominika żywili szczególną potrzebę poświęcenia się Panu, podążając jeszcze bardziej za przykładem swych dzieci i modląc się gorliwiej i dłużej. Wydłużyli czas swych modlitw, spędzając czas nawet w klasztorach. W roku 1960 Sergiusz i Dominika wyjechali na zimę do Modeny, do córki Marii, która była wówczas pielęgniarką w szpitalu. Poświęcili się modlitwie i korespondencji z dziećmi

pozostającymi za granicą. Dominika w swym duchowym testamencie stwierdziła, że wszystko prowadziło ją do Boga i nawet „całując różę, całuje piękno Boga”.

W prostej kobiecie **Teresy Savilli** umacnia się dojrzała wiara karmiona modlitwą i Eucharystią. „Kiedy zwracam się do Pana, nie umiem tylko się modlić, ale płaczę i czuję Jego bliskość. On jest Duchem Wszechmogącym, który mnie widzi, sądzi, pragnie, bym była zawsze blisko”. Czasem coś jej się wymknie, odsłaniając nieco intensywną drogę duchową. Ta miła i troskliwa kobieta idzie w doskonałej harmonii duchowej z Francesco o charakterze mniej wylewnym, niekiedy z odcieniem nadmiernej surowości, którego wiara jednak jest równie czysta i spójna. Wymagający dla siebie i innych ciężko pracuje przy apulijskich wodociągach, a potem na rodzinnym polu, aby wykarmić rodzinę i wykształcić wszystkie dzieci. Sama uroczyście to „owoc 17 lat trudów, pracy, niepokojów i trosk”.

Śludzy Boży **Francesco Ugenti** i **Teresa Savilli**, dumni z otrzymanej łaski syna – księdza, umacniają swoją więź z Rodziną św. Pawła, wstępując w 1974 roku do Świeckiego Instytutu Świętej Rodziny, założonego przez ks. Alberione dla uświęcenia świeckich, którzy przyjmują duchowość i charyzmat jego dzieła. W przypadku Teresy i Francesco, którzy dochodzą do tej konsekracji długą drogą, „Święta Rodzina” prawdziwie przydaje skrzydeł ich duchowości, powodując wzrost i udoskonalając to, jak już próbowali żyć, w świetle wiary i Bożych przykazań.

Wiara **Anny Marii Ritter** pozostała silna także wówczas, gdy choroba, której należało stawić czoło, nie była tą innych, ale własną. „Moja matka miała nowotwór, ale to ona nas przygotowywała... Wiedziała, że narodzi się do innego życia, dla niej był to powód do radości – wspomina Lucia. Sądzieliśmy, że nie skarży się, żebyśmy nie cierpieli. Dopiero potem, w jej listach adresowanych do Pana, odkryliśmy, że dziękowała Mu za ten ból”. Domywy salon Marcello Inguscio i Anny Marii Ritter stał się od razu siedzibą jed-

nej z pierwszych bazowych wspólnot kościelnych promowanych przez Misione Chiesa-Mondo. Małżonkowie będą też pierwszymi odpowiedzialnymi za gałąź małżeńską.

Licia i Settimio umacniają swoje życie modlitwy i uczą tego swoje dzieci. Licia co rano biegnie na pierwszą Mszę, Settimio udaje się na kolejną zaraz po jej powrocie. Potem razem ze wszystkimi dziećmi odmawiają modlitwy przed śniadaniem. Po tej krótkiej pogodnej przerwie Settimio udaje się do szkoły, podobnie jak starsze dzieci. Maluchy zostają w domu z Licią, która zaczyna swój mozolny dzień pracy. Chociaż wiele mam, nawet tych, które mają dwójkę dzieci, jest zawsze poddenerwowanych i niezadowolonych, ona jest uśmiechnięta, pogodna, pełna radości i dobrej woli. Kobieta bardzo aktywna i praktyczna, pracuje nieustannie i zatrzymuje się tylko wtedy, kiedy musi nakarmić najmłodsze dziecko. Ta przerwa trwająca około godziny jest szczególnym czasem na modlitwę, odmawianie różańca, lekturę żywotów świętych i ksiązek o Matce Bożej, na rozmyślanie nad tym, jak wychowywać dzieci. Potem na nowo zaczyna pracę aż do wieczora, kiedy to razem z Settimiem rodzina jednoczy się na odmawianiu różańca. Oczywiście wychowywanie dzieci nie jest łatwe, bo wymaga sił i stałości. Licia i Settimio, idąc za radami Ojca Pio, który zalecał „trzymać je krótko”, nie ustępowali nigdy ich kaprysom, nawet jeśli to wiele kosztowało. Wszystkie dzieci przystępowały do Pierwszej Komunii u św. Ojca Pio, uczyły się modlić rano i wieczorem, odmawiać modlitwę przed jedzeniem, zachowywać dziesięć przykazań Bożych, przystępować w każdą niedzielę i dni świąteczne do sakramentów: pokuty i Eucharystii, odprawiać dziewięć pierwszych piątków miesiąca oraz pięć sobót na cześć Maryi, a w maju składać Niepokalanej drobne ofiarki. Tylko w ten sposób rodzina może wzrastać w jedności i pobożności, być zdolna do mierzenia się z przeciwnościami losu, zachowując wiarę, nadzieję i miłość oraz wielką ufność w Bożą Opatrzność. „Przybyła Opatrzność” – krzyczały dzieci, kiedy w trudnych momentach przychodziła pomoc. Settimio i Licia wzorowo i z chrześcijańskim poddaniem przyjmo-

wali cierpienia, upokorzenia i niedostatki, które nie pozwalały nadać rodzinie blasku, jakiego wymagałaby pozycja społeczna osiągnięta przez Settimia – dyrektora szkoły i pułkownika lotnictwa w prowincjonalnym mieście, takim jak Lucera.





Wspólnota dialogu małżeńskiego

Święci Louis i Zélie Martin swoje małżeństwo postrzegali przede wszystkim jako powołanie Boże. W dniu ślubu Ludwik ofiarował Zelii medal przedstawiający na awersie małżonków ze Starego Testamentu: Tobiasza i Sarę, a na rewersie wieniec z róż, symbol świętości, wierności i miłości, który otaczał inicjały imion i nazwisk małżonków, oraz datę zawarcia przez nich małżeństwa. Zamieszkali w Alençon, w domu przy ul. Saint Blaise. Po ślubie obydwoje zdecydowali się na życie w czystości, jak brat z siostrą. Ludwik już wcześniej myślał o kwestii życia w czystości w małżeństwie. W jego notatkach jest wiele tekstów dotyczących ważności małżeństw nieskonsumowanych, przykładem których byli Maryja i Józef. Byli jednak otwarci na życie.

Małżeństwo Ludwika i Zelii było szczególnie zgodne. Jak pisała Zelia, „nasze uczucia były zawsze nastrojone na jeden ton”. Kardynał Martins w Lisieux powiedział znamienne zdanie: „Zanim spojrzeli sobie w oczy, długo wpatrywali się w twarz Chrystusa”. Istniała w ich związku przyjaźń, solidna, pełna czułości i zrozumienia, która z czasem się pogłębiała. Ich rozmowy były szczere, często odgadywali swoje intencje. Mówili sobie

o codziennych sprawach, jednak ich ulubionym tematem były kwestie wiary, dzielili się też wrażeniami z lektury żywotów świętych i wzajemnie się umacniali. Szanowali ciszę, potrafili uszanować odmienną rolę żony i potrzebę samotności.

W małżeństwie decydującą rolę odgrywała niewątpliwie Zelia, jednak Ludwik był dla niej wielką podporą i pocieszycielem. Kochała go i podziwiała, o czym wielokrotnie pisała w swoich listach: „Jestem zawsze z nim szczęśliwa; on jest tego przyczyną, że życie moje jest bardzo miłe. Mąż mój – to święty człowiek. Życzyłabym wszystkim kobietom takich mężów”. Ilekroć Ludwik musiał wyjechać, by załatwić sprawy związane z zamówieniami na koronki produkowane przez jej zakład, Zelia bardzo za nim tęskniła i z niecierpliwością oczekiwała jego powrotu. Pisała do niego: „Jestem dziś tak szczęśliwa, że Cię wkrótce zobaczę, iż nie mogę dziś pracować”. Ponadto wysyłała mu wiadomości dotyczące rodziny, przede wszystkim dzieci, a także spraw związanych z gospodarstwem domowym i zakładem koronkarskim. Z kolei podczas swojego pobytu w Lisieux tak wyrażała swoją tęsknotę w listach: „Kocham Cię z całego serca i czuję, że podwaja się jeszcze moje uczucie przez to pozbawienie Twojej obecności. Byłoby dla mnie niemożliwością żyć z daleka od Ciebie”. Zelia była świadoma roli, jaką powinna spełniać kobieta. Pisała o tym do brata, doradzając mu w wyborze żony: „Najważniejsze, by znaleźć kobietę o dobrych przymiotach, która by nie lękała się zabrudzić ręce w pracy, nie przywiązywała większej wagi do toalety, niż to wypada, która by umiała wychować swoje dzieci do pracy i pobożności”.

Ludwik odwzajemniał miłość do swojej żony. Pisał w swoich listach: „Droga Przyjaciółko – pisze Ludwik do żony – (...) Twój mąż i prawdziwy przyjaciel kochający Cię na wieki”. Bardzo się o nią troszczył, a w trudnych momentach „pocieszał, jak tylko umiał, bo i on miał podobne do moich upodobania”. Podjął się prowadzenia interesów Zelii, które wiązały się z wyjazdami do Paryża, gdyż dobrze wiedział, że nie lubi ona podróżować. Gdy był w podróży, pisał do niej z wielką czułością: „Droga Przyjaciółko, będę

mógł przyjechać do Alençon dopiero w poniedziałek, a czas mi się dłuży i spieszno mi do Ciebie. Nie potrzebuję Ci mówić, że Twój list sprawił mi wielką radość poza tym, że stwierdziłem, iż się przemęczasz. I tak, stanowczo zalecam Ci spokój i umiarkowanie, szczególnie w pracy (...). Całuję Was z całego serca, w oczekiwaniu na szczęście bycia razem z Wami". Odwiedzał również córki, które przebywały w Mans u sióstr wizytek. Opiekował się także swoim teściem: „Jednego na stu znajdzie się takiego, który by tak dobrze się do teścia odnosił jak on”. Jako spokojny i rozważny człowiek, był odpowiedzialny za rodzinę i z delikatnością wspierał Zelię. Często mówi się o nim jako o osobie dobrotliwej, wykazującej wręcz pewną uległość. Tej łagodności uczył się poprzez wytrwałe spełnianie dzieł miłosierdzia, nie była to cecha wrodzona. Teresa tak o tym napisała: „Na wzór św. Franciszka Salezego osiągnął takie panowanie nad swoją porywczą naturą, że wydawało się, iż ma charakter najbardziej łagodny na świecie...”.

Państwo Martin wspólnie podejmowało wszystkie decyzje. Zelia, pisząc o podjętych ustaleniach, zawsze dodawała: „Mój mąż zgadza się na to”. Miała jednak świadomość, że potrafi wpłynąć na decyzje Ludwika „i to bez walki” osiągała to, czego pragnęła. Przekonała go na przykład, aby ich córka Marynia mogła jechać na rekolekcje do wizytek. Zelia uważała, że jeśli chodzi o uświęcenie i udoskonalenie duszy, pieniądze nie mają znaczenia. Miała ogromny wpływ na Ludwika, ale to tylko dlatego, że w głębi serca byli ze sobą zgodni. Bywało, że małżonkowie kłócili się, jednak nie zaważało to na ich relacjach. Można się domyślać, że większość spraw spornych – tak jak u większości małżeństw – wiązała się z dziećmi. Byli oni zgodni, jeśli chodzi o główne wytyczne wychowania dzieci, jednak czasami mieli różne zdania przy podejmowaniu drobnych decyzji. Pewnego razu, słysząc podniesiony głos, siedmioletnia wówczas Paulina pytała: „Mamo, czy to właśnie jest brak porozumienia w małżeństwie?”. Zelię to bardzo rozśmieszyło i powiedziała o tym Ludwikowi, który również śmiał się z tej sytuacji. Odtąd te słowa Pauliny stały się rodzinnym żartem.

Wielkim źródłem wiedzy o codziennym życiu małżonków, a jeszcze bardziej o ich uczuciach, religijności i życiu duchowym, są listy. Zachowało się 218 listów Zelii do męża i 16 Ludwika do niej.

Wspólnotę dialogu małżeńskiego tworzyli także **Alojzy** i **Maria Beltrame Quattrocchi**. Między nimi była bardzo głęboka więź. Jak wspominają ich dzieci, „rodzice nigdy się nie kłócili. Prowadzili ożywione dyskusje, gdy dochodziło do różnicy zdań. Zawsze chodziło jednak o rzeczy drugorzędne”. Swoje powołanie do małżeństwa realizowali w szarej codzienności, jednak wciąż zastanawiali się, jak stworzyć warunki sprzyjające podążaniu do świętości.

Maria i Alojzy są przykładem dla innych małżeństw z kilku powodów. Po pierwsze, są wzorem świętego życia w małżeństwie w warunkach takich, w jakich my żyjemy, a przynajmniej do naszych podobnych. Po drugie, ich życie małżeńskie kształtowane było według współczesnych nam idei świętości. I w końcu po trzecie, jako liturgiczny dzień ich wspomnienia wyznaczono datę ich zaślubin (a nie jak zwykle przyjmowaną w dniu beatyfikacji czy kanonizacji datę śmierci jako dzień narodzin dla nieba). Fakt ten uwydatnia jednocześnie tajemnicę sakramentu małżeństwa i podkreśla jego uświęcającą moc. Po 20 latach małżeństwa Alojzy i Maria – za poradą przewodnika duchowego rodziny, franciszkanina o. Pellegrino Paoli – złożyli ślub czystości. W ten sposób pragnęli jeszcze bardziej dążyć wspólnie do duchowej komunii i chrześcijańskiej doskonałości.

Największy wpływ na duchowość małżeńską i rodzinną **Tomása** i **Paquity Alvira** miał charyzmat dzieła Opus Dei. Tomasz i Franciszka uświęcali się poprzez heroiczne i wytrwałe praktykowanie cnót chrześcijańskich. Ich dzieci każdego dnia widziały konkretne przykłady miłości rodziców; ta lekcja pozostawiła w nich głęboki ślad. Cieszyli się, że rodzice, pomimo licznych obowiązków, znajdowali czas na wspólne plany. Inną charakterystyczną cechą ich małżeństwa, którą zauważały dzieci, było kierowanie się hierarchią ważności przy dokonywaniu różnych wyborów. Kiedy sta-

wali przed koniecznością podjęcia decyzji, zawsze patrzyli na dobro drugiej osoby, zapominając o sobie. Wybór współmałżonka, którego dokonali przed 50 laty, potwierdzali każdego dnia nie tylko w sferze uczuć, ale przede wszystkim czynami.

Franciszka i Tomasz osiągnęli szczęście. To jest opinia wszystkich, którzy ich poznali. Byli szczęśliwi i emanowali miłością. Świadczą o tym chociażby takie słowa Tomasza, wypowiedziane do Franciszki: „Są tacy, którzy szukają szczęścia, a go nie znajdują. Można być szczęśliwym. Ja nie szukałem szczęścia, a je znalazłem. Ty mi je dałaś”. To jest właśnie sedno sprawy. Pierwszym warunkiem na drodze do szczęścia jest nie szukać go. Mężczyzna i kobieta szukają własnego szczęścia na drodze miłości. Mają rację, ponieważ miłość jest prawdziwą miłością, kiedy odrzuca się swoje własne ja.

Nadzieja i radość, które były od Tomasza, wymagały przykładu. Tomasz tak mówił do studentek kończących uniwersytet: „Życie człowieka składa się ze wschodów i zachodów słońca. Coś się w życiu zaczyna i coś się kończy: chcę, żebyście żyli intensywnie, koncentrowali się na każdym etapie życia; nie traktujcie etapów w życiu jako ciężkich kroków; jako ciężkiego przejścia do kolejnego etapu”. To dowód na to, że dobre przeżycie życia, to wyciskanie każdej kropli, która pozostawia smak szczęścia. Nie ma żadnej wątpliwości, że Franciszka też była szczęśliwa. „Zawsze szczęśliwa, ale radością cichą, wyważoną. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy. Umiała śmiać się szczerze i ten uśmiech był zaraźliwy”. Tomasz i Franciszka nie mieli łatwego życia. Szczęście nie spadło im z nieba ani też nie wymagali go jako prawa konstytucyjnego. Także nie wymagali jedno od drugiego, aby był odpowiedzialny za zapewnienie tego szczęścia drugiej osobie w łatwy sposób. W praktyce szczęście jest w nas samych i żeby je osiągnąć, trzeba odkryć naturę człowieka, którego stworzył Bóg oraz sens. Człowiek jako istota ograniczona ma też ograniczone szczęście. Dlatego należy żyć jak osoby i synowie Boga, a radość przyjdzie sama.

Można zadać sobie pytanie: co sprawiało, że Tomasz i Franciszka byli szczęśliwi? Odpowiedź jest jednoznaczna: istniała zgodność między tym, co kochali i tym, co realizowali. Nie zawsze jednak tak było. Trudności, mimo że istniały, były odsuwane na bok, ponieważ „aby osiągnąć szczęście, nie potrzeba wygód, ale zakochanego serca”.

Tomasz i Franciszka nigdy się nie skarżyli, oni po prostu byli szczęśliwi. Wcale nie oznacza to, że rodzina Alvira nie miała problemów chociażby z przestrzenią w domu dla ośmiorga dzieci. Musieli liczyć się z każdym groszem, aby wystarczyło dla wszystkich dzieci, przynajmniej do momentu ukończenia przez nich studiów. Oni jednak nie skupiali się na brakach, ale całą uwagę poświęcali dzieciom. W tym domu biła radość opierająca się na codzienności. Tak było przez ponad 50 lat dzień po dniu, bo małżeństwo to nie jedna sytuacja, ale ciągły rozwój. Na potwierdzenie tego warto przytoczyć jako dowód świadectwa dwóch osób. Pierwsza to Isabel Bueno, która wiele lat pracowała w domu u rodziny Alvira. Z wielką precyzją mówi, że „rodzina wyróżniała się spokojem i słodyczą. Przekazywała spokój i wrażliwość”. Druga osoba to Teresa Susin – kuzynka Franciszki. Ona również mówiła, że: „Cały czas, kiedy mogłam przebywać z Franciszką, widziałam u niej całkowite oddanie rodzinie. Często zapominała o samej sobie. Nigdy się nie skarżyła. Nigdy nie mówiła o zmęczeniu, chociaż było ciężko w tak licznej rodzinie. Można wręcz powiedzieć, że swoim uśmiechem i przyjaznym usposobieniem wyrażała wszem i wobec szczęście swoje i swojej rodziny”.

Dla Franciszki i dla rodziny trudna była sprawa związana z podrózami zawodowymi Tomasza, dlatego starali się robić wszystko, żeby zniwelować uciążliwości. Przez wiele lat Tomasz i Franciszka nie mogli razem podróżować, ponieważ Franciszka nie mogła zostawić dzieci samych w domu. Tomasz bardzo się tym przejmował i wiele razy mówił: „ta kobieta spędziła wiele lat nie ruszając się z domu, dlatego teraz, kiedy jest już bardziej wolna, staram się, żeby zawsze mi towarzyszyła”. Często dochodziło przy tym do

śmiesznych sytuacji. Kiedy Tomasz ogłaszał, że musi jechać do jakiegoś miasta i mówił to w liczbie pojedynczej, Franciszka natychmiast odpowiadała: „Mówiłeś, że gdzie jedziemy?”.

Kiedy Tomasz i Franciszka mieli jakąś alternatywę, wybór zawsze wiązał się z dobrem drugiej osoby. To potwierdzenie wyboru (przysięgi), do którego się zobowiązali 50 lat wcześniej, było zawsze aktualne, nie tylko w uczuciach, ale przede wszystkim efektywne w czynach. Zawsze z dobrą wolą i uczuciem. Żadne z nich nie było ze skały, ale ich miłość była poukładana. To, co miało być pierwsze, było pierwsze, a reszta pozostawała z tyłu. Na pierwszym miejscu byli oni dwoje, bo to stanowiło najlepszy prezent dla ich dzieci.

Bywały i chwile, kiedy się kłócili. Visi, siostra Tomasza, która była obecna w ich życiu przez 53 lata, wyznała: „Nigdy nie byłam świadkiem kłótni w obecności rodziny. Przyznaję, że były momenty, kiedy się kłócili, ponieważ raz Franciszka powiedziała mi: «Tomasz jest na mnie obrażony». Po pewnym czasie ponownie zwróciła się do mnie: «Już mu przeszło»”. Tomasz miał bardzo silny charakter i w konsekwencji czasami wybuchał. Ich córka Nieves mówi o jego potrzebie załagodzenia konfliktu: „W kilku sytuacjach widziałam ojca jak się poprawiał. Jak prosił o wybaczenie przed całą rodziną za to, że powiedział coś «mocnego» lub inną rzecz. Bardzo mi to imponowało”. Podczas gdy Tomasz miał bardzo żywy temperament, Franciszka umiała wyjść elegancko z każdej opresji i jeśli w pewnym momencie było między nimi jakieś spięcie, jej umiejętność dopasowania się minimalizowała szkody. Z drugiej strony, Tomasz również łagodził sytuację, gdyż nie mógł patrzeć, jak ktoś cierpi, a on może pomóc. Jako podsumowanie mogą służyć typowo aragońskie zdrobnienia używane przez ich dzieci: „Ach Tomaszku! Ach Franeczko!”. Ileż w nich uznania własnych i cudzych słabości. Jaką czułość można wyrazić w tych dwóch słowach.

Wspólnota dialogu małżeńskiego **Giovanniego i Rosetty Gheddo** opierała się na miłości ludzkiej i na miłości Boga, dzięki której byli ze sobą do-

skonale zintegrowani. Sakrament małżeństwa przyjęli w 1928 roku. Podczas ślubu poprosili Boga, aby mieć dużo dzieci. Byli we dwoje tylko 6 lat i cztery miesiące, od 16 czerwca 1928 roku do 26 października 1934 roku, kiedy Rosetta zmarła po porodzie w wyniku zapalenia płuc. Prowadzili zwykłe życie, jednak wiele osób wspomina ich jako „parę niezwykłą” ze względu na żywą wiarę, którą wyrażali w codzienności tak, iż budzili podziw. Państwo Gheddo byli zgranym małżeństwem. Łączyły ich poglądy, obydwójce byli wierzącymi i praktykującymi katolikami. Ludzie wspominają ich jako niezwykle pogodnych i serdecznych.

Od czasu, kiedy **Jerônimo** i **Zélia de Castro Abreu Magalhães** się poznali, bardzo się pokochali. Związek małżeński zawarli 27 lipca 1876 roku w Chácara Cachoeira (dzielnica Tijuca). Po ślubie doświadczali życia małżeńskiego w całej pełni miłości. W ten sposób uświęcali się i pogłębiali miłość do Pana Boga i do siebie nawzajem. Razem przeżyli 33 lata.

Kiedy **Sergiusz Bernardini** spotkał **Dominikę Bedonni**, był wdowcem, doświadczonym przez śmierć swych rodziców oraz trójki dzieci. Po wszystkich trudnych doświadczeniach związanych z utratą rodziny, tym bardziej potrzebował osoby, która by go kochała i towarzyszyła mu w życiu. Sergiusz i Dominika bardzo się rozumieli. Rozmawiali o sobie, o swoich planach, rodzinie i wspólnej przeszłości. Za każdym razem odkrywali, że zmiierają w tym samym kierunku – drogą wyznaczoną przez Pana Jezusa. Wspólnie też czytali i rozważali Ewangelię. Na Słowie Bożym opierali jedność serca, umysłu i duszy. Dominika tak pisała o Sergio: „Od razu wydał mi się bardzo dobrym człowiekiem. Był też przystojnym mężczyzną, wysokim i postawnym. Ludzie mówili o nim wiele dobrego; bardzo cierpiał, było to widać. Jego pełne wiary spojrzenie emanowało dobrocią i pogodą ducha. Od razu poczułam do niego podziw i szacunek, ponieważ umiał dźwigać swoje cierpienie z wielką godnością. Wszystko w nim emanowało ufnością. Wzbudzał szacunek i spokój”. Narzeczeństwo Sergia i Domenichi trwało kilka miesięcy.

Sergiusz i Dominika wzięli ślub 19 maja 1914 roku w kościele parafialnym w Verica i zamieszkali w Barberino de Veriva, na małej farmie, którą Dominika otrzymała w posagu. Po latach Dominika zwierzyła się swoim córkom: „W młodości modliłam się też o to, aby jeśli jestem powołana do małżeństwa, Pan pomógł mi spotkać mężczyznę, który nie przeklina i nie upija się. I zostałam wysłuchana”. Dominika zawsze mówiła o swoim mężu z czułością, bardzo go chwaliła, gdy dzieci pytały o to, dlaczego poślubiła wdowca. „Tak, był wdowcem – odpowiadała – ale też prawdziwym księciem z bajki, o dobrym spojrzeniu, emanował dobrocią. Nawet kiedy już miałam go poślubić, kilka kobiet z Sassoguidano przyszło mi powiedzieć, żebym nie bała się poślubić wdowca, gdyż Sergio był najpiękniejszy i najlepszy w wiosce”.

Zarówno Dominika, jak i Sergio mieli ogromną dojrzałość. Wpłynęło na to wiele wydarzeń w ich życiu. Obydwoje – pomimo różnych temperamentów – zawsze zachowywali pogodę ducha i optymizm. A różnili się bardzo. Ona była szybka i bystra, zręczna i dynamiczna, spontaniczna i wylewna; on – spokojny, rozważny, metodyczny, cichy i refleksyjny. Ich cechą wspólną była kreatywność – dlatego też zawsze znajdowali od razu rozwiązanie każdego problemu. Żadna trudność nie wzbudzała w nich niepokoju. Ponadto byli przeniknięci autentyczną wiarą i religijnością. Można powiedzieć, że połączyło ich chrześcijaństwo, bez kompromisów, zawsze na szczyście wartości, przy rzadko spotykanej ascezie. Małżonków tych nie można zrozumieć, nie patrząc na nich w świetle wiary i oczyma wiary. Swoją miłość postrzegali oni jako odkrywanie i doświadczenie Boga. W ten sposób życie rodzinne stawało się niejako liturgią, która w sercu przybierała formę dźwięków i śpiewów sławiących dobroć Pana oraz przeradzała się w ciągle dziękczynienie.

